

PATOS JESIENNY

DYMITR SZATYŁOWICZ

PATOS JESIENNY

Z białoruskiego przełożył autor

BIAŁYSTOK 2010



PIERWSZA NOC NA FRONCIE

Czarna już noc, niby w paszczy pieczary,
Ciemność, jak lawa, świat cały załala,
Niebo przykryły chmur grube kotary,
Gwiazdy pogasły i duże, i małe.

Śniegu białego nie widać po bokach,
Słysząc skrzyp jego na dole pod butem
Razem z sapaniem, z charkotem po krokach
Płuc u żołnierzy śmierdzących mazutem.

Naprzód kroczymy w szeregu zziąjanym
Gdzieś po omacku i noga za nogą.

Z przodu prowadzi dowódca nam znany
Cicho spokojnie nieznaną nam drogą.

Plecy ciężarem ociera złośliwie
Plecak, co chwycił dokoła me ręce,
Bije po plecach karabin zdradliwie,
Pastwi się kolbą, dobija w udręce.

Zimny wiatr dmucha bez przerwy ze wschodu,
Znajdzie do ciała przez szynel swe dojście.

Męczy sen oczy, bo w taką pogodę,

Każdy z nas chciałby zobaczyć już pościel.

Raptem latarka błysnęła wysoko,
Znak, by zatrzymać na miejscu nasz pochód.
Każdy w ciemności naprężył swe oko,
By rozpoznawać sąsiadów po trochu.

Wtedy dowódca nasz wyszedł z ciemności,
Oddział nasz zabrał, z nim wszedł do okopu,
Ciepłej zrobiło się w nim w zupełności,
Idąc gęsiego w głębinach wykopu.

Grupa żołnierzy tam na nas czekała,
Których zmieniliśmy już bez przeszkody,
Ze mną przywitał się żołnierz jękała,
Prosił, bym nalał do kubka łyk wody.

Swe stanowisko pokazał w okopie,
 Na tym już miejscu, gdzie on był, zostałem.
 Życząc mi szczęścia, poskakał galopem
 Naprzód za swoich żołnierzy oddziałem.
 Teraz ich czeka we wsi odpoczynek,
 A nas huk armat, gwizd kul nad głowami.
 Może gorący tu być pojedynek,
 Z wrogiem, co siedzi w okopach przed nami.
 Teraz nie słychać z ich stronny już huku,
 Nawet latarka nie błysnie z daleka,
 Z naszych okopów ni szumu, ni stuku,
 Wróg nas nie słyszy, tu nikt nie zastęka.
 Sierżant wyznaczył na pierwszą mnie zmianę,
 Stoję więc sam nieruchomo, jak kłoda,
 Nogi mi marzną od stóp po kolana,
 W ciemność spoglądam, drży ciało od chłodu.

Wiersz został napisany w marcu 1943 roku w szpitalu
 wojskowym w Seeburgu (teraz Jeziorany)
 na terenie byłych Prus Wschodnich



1941 r. Uczniowie 7-ej kl. Szkoły Średniej w Bielsku Podlaskim.
 Stoją od lewej: M. Kierdelewicz, autor, A. Leszczyński.
 Siedzą od lewej: S. Szymoniuk, W. Konach i M. Topór.

NOCNA STRZELANINA

Gdy w ciszy minęły północne godziny,
Usiadłem odpocząć, schyliwszy się nisko,
Gruchnęły gdzieś strzały, jak dźwięki drezyny,
Kul roje leciały, jak iskry z ogniska.
 Zatrzeszczał erkaem z dalekiej transzei
 I jemu nie jeden automat pomagał,
 My wtedy zaczęliśmy strzelać z kolei,
 Do wroga w ciemności, by nie czuł przewagi.
I kule, jak osy, brzęczały nad nami,
I od nas tak samo leciały w czerń nocy,
Gdzie wróg jest słyszeliśmy tylko uszami,
Bo oczy nie mogły nam przyjść tu z pomocą.
 Zabawa ciągnęła się już z pół godziny,
 Nam cieplej zrobiło się w norach okopów,
 I nikt nie ucierpiał od tej strzelaniny,
 Na zmianę strzelaliśmy w ciemność do szkopów.
I raptem zaczęło hurkotać przed nami,
Do naszych okopów strzelały moździerze,
Wróg chciał nas zasypać swoimi minami,
Trafiały odłamki w okopów obrzeża.
 Przysiedliśmy wtedy w okopach przy ścianach,
 Na głowy wrzuciliśmy nasze szynele,
 By kamień z wybuchu nie zrobił nam rany,
 By na nas nie spadły lecące szrapnele.
I światło raptownie błysnęło nam w oczy,
Za nami płomieniem wybuchnął stóg słomy,
Jak słońce oświetlił nas w czeluści nocy,
I każdy nasz ruch był dla wroga widomy.
 I mina w transzeję w pobliżu wleciała,
 I z hukiem tam kilku żołnierzy raniła,
 Trzech sanitariuszy tam wbiegło i śmiało
 Na noszach wyniosło ich szybko do tyłu.

Stóg zgaśł i zalała świat znów fala mroku,
Lecz móździerz nie zamilkł, a strzelał bez przerwy,
Wybuchy pocisków słyszeliśmy z boku,
Straszyły nas one i psuły nam nerwy.

I wtedy podwieźli nam z tyłu „katuszę”,
By móździerz już przestał nas straszyć minami,
Od ryku z jej lufy zadrgały nam uszy,
Gdy strzały ogniste leciały przed nami.

I strzały móździerza nas straszyć przestały,
Zamilkły w tym czasie tam też erkaemy,
I w ciszy słyszeliśmy wietrzyk nad wałem,
On nas uspokajał od strachu i tremy.

Robiło się niebo jaśniejsze na wschodzie,
I zaczął zza chmury czerwienieć nieboskłon,
Widzieliśmy cienie drzew w bliskim ogrodzie,
Schylały się, jakby składały nam pokłon.

Wiersz został napisany w marcu 1943 roku w szpitalu
wojskowym w Seeburgu (teraz Jeziorany) na terenie
byłych Prus Wschodnich.



1941 r. Uczniowie VII kl. Szkoły Średniej w Bielsku Podlaskim.
Siedzą od lewej: Ł. Gładkiewicz, K. Radionowna, D. Heific,
W Baranowa, Stoją od lewej: autor, W. Bugajew, A. Leszczyński,
M. Kierdelewicz i nauczyciel geografii S. Kanicz.

POD NIEBEM LIPCOWYM

Pod niebem lipcowym na nocnym padole
W łaskawe objęcia przyjęło nas pole.
Migały nam gwiazdy wśród dużych chmur ciemnych
I księżyc uśmiechnął się do nas przyjemnie.
 Zobaczył, jak tu gotujemy ziemniaki,
 Jak błyszczą pod rondlem płomienia zygzaki,
 I nas w kartoflisku schowanych, jak mrówki,
 By nie mógł wróg znaleźć tu naszej kryjówki.
Zmęczyła nas praca od rana do zmroku,
W gorących promieniach, jak w lawie potoku,
Mnie wewnątrz okopu, a tobie przy krowach,
W tupocie wachmanów, przy ich groźnych słowach.
 Nas głód straszny zmęczył i strach, i pragnienie,
 I w żwirze dźwięk łopat, wachmanów złe cienie,
 Nas one zmusiły przyjść tutaj i siedzieć
 By w mocnych objęciach zapomnieć o biedzie.
Jak tylko głód przejdzie, chcę kochać się z tobą,
Pod nocy przykryciem, pod nieba ozdobą...
I raptem samolot przeleciał u góry,
I schował się szybko wysoko za chmury.
 I stamtąd znienacka błysnęła figlarnie
 Wysoko nad nami okrągła latarnia,
 Powoli opada, jak kula, i płonie,
 Nam wróży, że wojny przybliży się koniec.

STAREMU PRZYJACIELOWI

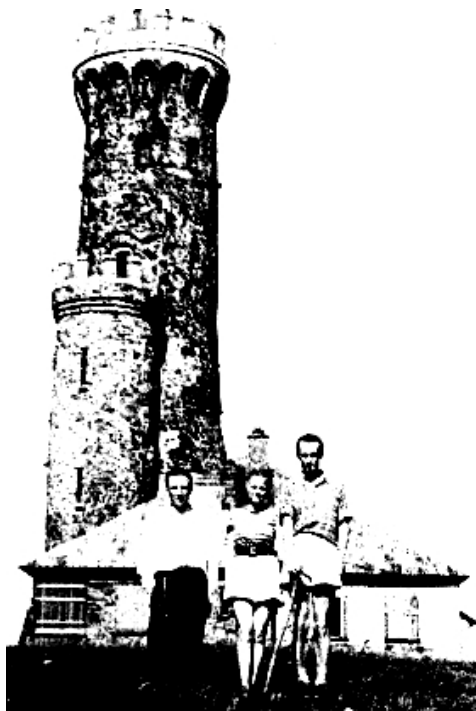
Nie zapominaj przyjacielu
Spędzonych nocy przy ognisku
Z ziemniaków garnkiem, bez pościeli,
Na piasku w suchym kartoflisku.
Od bomb błyskały gdzieś zygzaki,
I huk w powietrzu do nas płynął,
Jak gotowaliśmy ziemniaki,
I trąbił wiatr: „Nie zapominaj!”

Nie zapominaj czasów wojny
Spędzonych gdzieś na samym froncie,
W kajdanach nocy niespokojnych,
W okopach, jak prażyło słońce,
To, co przeżyłeś w tamtym czasie,
Który dla ciebie dawno minął,
Choć byłeś wtedy młody, w krasie,
Teraz tych lat nie zapominaj.

Nie zapominaj o tym: wojna
Przynosi biedę, zniewolenie,
Wszędzie, gdzie przejdzie ciżba zbrojna,
Zostawia gwałty i zniszczenia.
Wojna to śmierć w czeluściach boju,
Pułapek groźnych pajęczyna...
O wojnie potem w czas pokoju
Ty w życiu swym nie zapominaj.

Nie zapominaj swoich dziadków,
Rodziców i rodzinnej chaty,
Gdzie z nimi w biedzie, w niedostatku
Przeżyłeś, będąc niebogatym.
Choć byłeś bosy w czasie chłodu,
Bogatą teraz masz rodzinę,
To jednak o tych latach młodych
Obecnie też nie zapominaj.

Nie zapominaj, gdyś w dostatku,
Ojczystej ze swej chaty mowy,
Którą mówiłeś do swej matki,
Od niej poznałeś pierwsze słowa.
Gdy trafisz potem z niepokojem
Do nieznanym ci krainy,
To nigdy mowy matki swojej
Tam w życiu swym nie zapominaj.



1950 r. Śnieżnik w Karkonoszach. Od lewej autor ze studentami.

POMIĘDZY RUINAMI

Gdy przeszedł front, chodziłem często
Pomiędzy ruinami domów,
Leżały pod nogami gęsto
Fragmenty betonowych złomów.

Gdy wcześniej śnieg pieluszką białą,
Zasłaniał gruzy i zakątki,
Patrzyłem nawet z góry śmiało
Na martwe dawnych bogactw szczątki.

Zaś wiosną, gdy przygrzało słońce
I zginął śnieg w poranek znojnny,
Przebiegał w oczach mi bez końca
Huragan niedalekiej wojny.

Tysiące myśli podświadomych
Wbiegało wtedy mi do głowy,
O moim losie niewiadomym,
Na życia mojej drodze nowej.

Szkielety domów i ruiny
I oczodoły okien mętnych,
W wiszących siatkach pajęczyny,
Patrzyły dziko, jak zwierzęta.

Pewnego razu widzę w gruzach
Bławatki sine, jak koronę,
Dwie żółte niby słońce róże,
A trzecią, jakby krew, czerwoną.

Raptownie wtedy rozumiałem,
Że znowu wraca tutaj życie,
Że ono rodzi się pomału,
Jak nowo narodzone dziecię.

Natychmiast stałem się spokojny,
I w los swój uwierzyłem wtedy,
Że żądło utraciła wojna,
Że to już koniec mojej biedy.

ARESZT

Pewnego razu, idąc pieszo
Do pracy żmudnej do szpitala,
Trafiłem z kumplem do aresztu,
Jak na wędziska błyszcz cefale.
Nas zabrał z sobą silny, zdrowy
Podpity zły enkawudzysta
I groził na niemieckiej mowie
Że nas rozstrzela, jak faszystów.
Oskarżał nas, jak potwór dziki
O zdradę i służalczość wrogom,
Zerwawszy z nas naramienniki,
Podeptał je swą brudną nogą.
Bez okazania dokumentów
Nas zaprowadził do piwnicy,
Pełnej śmierdzących ekskrementów,
Płynących skądś, jak z gnojowicy.
W promieniach słabych spod drzwi z dołu
Widzieliśmy dwóch śpiących ludzi,
Leżących na betonie gołym.
Ich nawet stuk drzwi nie obudził.
Dokoła był śmierdzący beton,
Nie było nigdzie krzesła, ławek,
Truł płuca nam nieznosny fetor,
Dostaliśmy od niego drgawek.
Lecz zazgrzytały drzwi żelazne,
Oficer się ukazał w cieniu.
Kto wy? - zapytał nieprzyjaźnie,
Nas oglądając ze zdziwieniem.
Gdy od nas na rosyjskiej mowie
Usłyszał nasze ostre żale,
Że nas zamknęli pomyłkowo,
Gdy szliśmy razem do szpitala.

Oficer zabrał nas z piwnicy
I zaprowadził do pokoju,
Tam z okna mogliśmy ulicę
Oglądać w dwójkę ze spokojem.
On wyszedł i powiedział krótko,
Że wezwie nas na przesłuchanie,
I usłyszeliśmy dźwięk dudki,
Za oknem, jej żałobne granie.
Podbiegliśmy do okna żwawo
I tam widzimy, jak na planszy,
Nasz starszy sierżant kędzierzawy
Przechodzi tuż pod oknem naszym.
Stuknęliśmy tak głośno w szybę,
Że zauważył nas i poznał.
On pędzej nas, niż z wędki rybę,
Enkawudzistom zabrał z różna.



1952 r. Leningrad. Polscy studenci. Od lewej: M. Kierdelewicz
i w środku autor.

POŻEGNANIE Z OJCEM

Pożegnałem się z ojcem na zawsze z przykrością,
Gdy wyganiał mnie wróg na tułaczkę daleką.
On w Czeremsze doczekał się w bólach wolności,
I zobaczył, jak wróg tam w popłochu uciekał.

Ale wkrótce z południa nabiegły, jak chmary,
Hitlerowskie kohorty wśród czołgów i armat,
Zapłonęły dokoła raptownie pożary,
Cała wioska przeżyła piekielny swój dramat.

Pojedynki toczyli wśród domów czołgiści,
Celowali do siebie zza stodół i domów,
Mordowali mieszkańców bez żalu faszystyści,
Nie dawali ratować dobytku nikomu.

Wszyscy chłopci chowali się w dołach i jamach,
Wykopanych pośpiesznie po przyjsciu faszystów,
Spotykała w nich często ich śmierć albo dramat
Od trafionych w kryjówki armatnich pocisków.

Dużo ludzi wioskowych zginęło w dniach bitwy
Od pocisków i kul, od wybuchów granatów,
Nie pomogły im w jamach ni płacz, ni modlitwy,
Bo nie przyszedł im wtedy ratunek z zaświatów.

I w tym czasie zapalił się dom u sąsiada,
I płonęły też jego dwa chlewy za rogiem,
Wylatywać zaczęła z nich iskier gromada
Mógł przerzucić się szybko na ojca dom ogień.

Azbestowy dach domu nie płonął od iskier,
Ale ściany drewniane nagrzały się mocno,
Okiennice i szyby skarżyły się piskiem,
Papa w chlewach błyszczała po stronie północnej.

Spod stodoły się zjawił mój ojciec w południe,
Zaczął gasić palące się żerdki przy chlewie,
Złapał wiadro i pobiegł z nim prosto do studni,
Nabrać wody i ściany gorące polewać.

Nie obawiał się wtedy wybuchów pocisków,
Gwizdu kul, co padały pod domem, pod progiem,
Biegał z wiadrem od studni wśród huku i pisku,
U sąsiada zaś szalał przez cały czas ogień.
 Biegnać któryś już raz sam do studni po wodę,
 Przeszła kula przez nogę mu ostra, jak brzytwa,
 Upadł z jękiem na ziemię przed samym ogrodem
 I umierał, jak żołnierz sam jeden w dzień bitwy.
Nikt nie podszedł do niego z bandażem na nogę,
Choć sąsiedzi widzieli, że leży na trawie,
Obawiali się wyjść z jam, z kryjówek na drogę,
On w męczarniach się zwijał i stękał, i krwawił.
 A ocalał mu dom od groźnego pożaru,
 I nie przeniósł się ogień na chlew od sąsiada,
 Lecz spłonęła stodoła ze zbożem od skwaru,
 Gdy zaczęła się druga we wsi kanonada.



1968 r. Belgrad. Autor w ogródku Mikołaja Farmakowskiego.

LABIRYNT

W mojego losu labiryncie
Błądziłem, jak bezdomny, sam,
Nie mogłem znaleźć z niego wyjścia,
Otwartych nie widziałem bram.

Mijałem nieznajomych ludzi,
A czasem przyjaciela śpiew,
Widziałem w tłumie ludzi cudzych,
Rozpaczy łyzy, a czasem krew.

Jak kret, przebrnąłem sam przez błota,
W niewoli czułem ciągi chłost,
Szukałem, gdzie otwarte wrota,
Przez rzekę biedy jakiś most.

Przeszedłem żywy czas złowrogi,
Gdzie spoglądała w oczy śmierć,
I wygoiłem swoje nogi
Znalazłem bramę w blasku świec.

Za nią poczułem już swobodę,
Jak zobaczyłem pole, las,
Odprowadzała mnie pogoda,
Świeciło słońce cały czas.

Do domu wszedłem rodzinnego,
Spotkałem matkę z siostrą w drzwiach,
Niestety ojca rodzzonego
Już odwiedzałem tylko w snach.

BIEDA

Nie zaznałem też biedy w młodzięczych swych latach,
Lecz widziałem jej kły wśród przyjaciół mych młodych,
Spotykałem u chłopów we wioskach, w ich chatach,
I u wielu pastuchów obdartych i głodnych.
 Jak ich gryzły wszy z pchłami w ich nędznych barłogach,
 Jak zmęczeni gdzieś gnali krów stado, cielęta,
 Jak nosili ciężary za grosze po drogach,
 Jak krew z bosych nóg często im ciekła po piętach.
Ciężar biedy zaznałem dopiero w niewoli,
Na obczyźnie daleko od domów rodzinnych,
Gdzie zapędził mnie wróg wbrew mej chęci i woli
Do nieznanych mnie pól, ludzi złych, niegościnnych.
 Wróg tam męczył nas gorzej niż zbrodniarz, bandyta,
 Do obory zapędził nas siedemset ludzi,
 Tam ze słomy oblaży nas wszy pasożyty,
 Wypijały nam krew przez dziesiątki dni w brudzie.
Nas karmili raz dziennie po ciężkim dniu pracy
Zupą z brukwi i chleba maleńkim kawałkiem,
Do obory pędzili nas potem żołdacy,
Zamykając na sztabę drzwi skoblem i zamkiem.
 Jak zwierzęta tam spaliśmy w słomie i smrodzie,
 Choć z podwórza wiatr dmuchał w szczeliny obory,
 O kanapce, jedzeniu marzyliśmy w głodzie,
 A na zewnątrz szurały wachmana buciory.
Tam nie mieliśmy wody do mycia rąk, twarzy,
Rankiem brudnych nas gnali do pracy wachmani,
Tam ich setki dokoła nas stało na straży
Z nahajkami i w płaszczce myszate ubrani.
 Niepotrzebnie kopaliśmy Niemcom okopy,
 Nie pomogły im one przed czołgów atakiem.
 Pogardliwie tam ich przeżywaliliśmy: szkopy,
 Dla nas każdy tam Niemiec był łotrem, łajdakiem.

Bo chodzili przy pracy z nahajką, batogiem,
I nie jeden z nas nosił ich sińce na plecach.
Esesmani straszili psem groźnym buldogiem,
On poszczuty zębami kilku z nas pokaleczył.
Z przyjaciółmi uciekłem wieczorem od szkopów,
Zostawiliśmy biedę tam swą bez żenady.
I powiodła się nasza ucieczka z okopów.
Dla wachmanów po sobie zatarliśmy ślady.



1952 r. Leningrad. Polscy studenci. Autor drugi od prawej strony.

MOJE DZIECIŃSTWO

Przy lampie naftowej w młodości
Uczyłem się z elementarza
O zgodzie w narodzie, jedności,
Że władza nas szczęściem obdarza.
 Lecz wojna nam wszystko zmieniła,
 W naszym spokojnym zakątku,
 Ze wschodu zjawiała się siła,
 Serwując nam nowe porządki.
I rankiem codziennie do szkoły
Jeździłem pociągiem z ochotą,
I z wioski na dworzec wesoły
Chodziłem z kumplami piechotą.
 Tak samo wracałem do chaty,
 Przy lampie naftowej siedziałem,
 Choć ojciec mój był niebogaty,
 Cieszyłem się z tego co miałem.
Nie znaliśmy tam Internetu,
Lecz czułem się zdrowy i młody.
Dawała oświata podniecie...
Młodzieńczych mych lat bardzo szkoda.

MÓJ RODOWÓD

CMENTARZ

Dysk słońca wygląda zza sosen wysokich,
Oświeśla las krzyży i kwiatów dziś hojnie.
Tu wielu przyjaciół w mogiłach głębokich
Przykrytych płytami spoczywa spokojnie.

Drewniana cerkiewka blaszanym lśni dachem.

Już sto lat kopułą i krzyżem z patosem

Spogląda przez noce i dnie w bok bez strachu,

Jak mknie rój pojazdów i wozów po szosie.

W mogiłach tu leżą mój ojciec i matka,

A obok przy płytach dwa krzyże nieduże.

Na każdym z nich napis, jak mała notatka,

Zmywane powoli przez deszcze i burze.

To matka ten krzyż postawiła dla męża,

Gdy ganiał mnie wróg gdzieś po obcej krainie.

Nie mogłem przypuszczać, że w huku oręża

Mój ojciec od kuli przed domem swym zginie.

Nie mogłem przypuszczać, że spłonie nam wioska,

I w niej ocaleje nasz dom od pożaru,

Że wioskę nam spalą faszyci, ich wojsko,

Że przyjdą znienacka do wioski, jak taran.

Dowiedzieć się mogłem, jak byłem u celu,

Gdy wcześniej zwiedziłem Białoruś i Prusy,

Gdy cicho wieczorem w frontowym szynelu

Doszedłem do domu przez śnieżne obrusy.

Z południa cerkiewki na dziadka mogile

Z marmuru, jak posąg, krzyż wzniosłe wspomina

Dnie carskie, wojenne przeżyte im chwile.

I czas, który w huku dział obok przeminął.

Jedyń tak długo, on tu niewzruszony
 Pomiędzy już nowych posągów i krzyży,
 Wygląda korzystnie, jak nowo stworzony,
 A przeżył sto lat już, jak dzwony ze spiżu.
 On widział tysiące świątecznych procesji,
 Tysiące chorągwi, kadzideł i księży,
 On widział tu skutki niemieckiej agresji,
 Ich czołgi na szosie, armaty, żołnierzy.
 A obok znów pomnik ze zdjęciem pod sosną,
 To szkolny przyjaciel z lat mojej młodości,
 Już jego mogiła barwinkiem obrosła,
 Kolorem niebieskim zaprasza tu gości.
 Tak chciałbym raz jeszcze pogadać tu z tobą,
 Nie mogę, bo śmierć cię zabrała do siebie...
 Słoneczne promienie nad sosną nad grobem
 Powoli uciekły za chmurę na niebie.



Grób rodziców na cmentarzu we wsi Czeremcha w 2009 r.

BIAŁORUSKI ORFEUSZ

W wiedeńskim parku Schönbrunn twarzą do pałacu
Z gitarą lśniąca w ręku chłopiec z Mohylewa
Pod drzewem bardzo starym przy małym placu
Na białoruskiej mowie grał i głośno śpiewał.

Leciały po alejach w parku jego pieśni
O białoruskiej czarującej go dziewczynie,
O świętach dnia Kupały, śniadej w mgle Alesi,
O Inie, o Jasiu, który kosił koniczynę.

I piękny jego tenor z pomocą bóstw astralnych,
Jak dzwon cerkiewny płynął, radośnie i z natchnieniem.
I zastygł ludzi tłum przed muzyką wokalną,
Na niego patrzył wprost i słuchał z uwielbieniem.

Gdy skończył tylko śpiew, ukłonił się im nisko.
Gęsiego ludzie szli po ścieżce bez pośpiechu,
By obok jego nóg, do małej srebrnej miski
Nachylić się, położyć szylingi dwa z uśmiechem.

A z głębin ich szeregów słycać było słowa
Zachwytu jego głosem, zwroty, i tyrady,
Czy po rosyjsku tutaj śpiewał im ten człowiek,
Czy z innej gdzieś krainy przywiózł serenady.

I jeden go zapytał głośno i w pośpiechu:
Czy jest pan Rosjaninem, albo z Ukrainy?
Zdziwiony śpiewak spojrział w oczy mu z uśmiechem:
„Ein böser Scherz! – powiedział – po naszymu : kpiny!”

Pokazał mapę mu, przy Rosji, obok z lewej
Jest państwo samodzielne, tam mieszkają ludzie,
Tym państwem jest Białoruś, „Jestem z Mohylewa!
I śpiewam białoruskie pieśni, a nie cudze”.

„Białorusinem jestem!” – brzmiało w parku echo,
I zamiast monet posypały się banknoty.
Nie oczekiwał takiej chwały i uciechy,
Zachwytu głosem, jego werwą i polotem.

Z radości chwycił on do ręki znów gitarę
Uderzył w struny z jeszcze większą siłą i zapalem,
I popłynęły pieśni dźwięczne, jak z fanfary,
Aż w obeliskach drgać zaczęły piedestały.



1968 r. Autor przed parkiem w Belgradzie.

W DZIECIŃSTWIE

Każdy z nas czy to wiosną, czy latem,
Póki mróz nie zamienił w szron rosy,
Po dolinach, po polach pstrokatych
Chodził wszędzie, gdzie mógł tylko boso.
 Kaleczyło ściernisko nam nogi,
 I krew często spływała spod kości,
 My oraliśmy boso odłogi,
 Szliśmy boso do pana na włości.
Na bosaka chodziliśmy w lesie,
Na bosaka chodziliśmy wszędzie,
Z radia też nie słyszeliśmy pieśni,
A od dziewczyn w ogrodzie na grzędzie.
 Wieczorami przy lampach naftowych
 Odrabialiśmy lekcje do szkoły,
 A korale z żołędzi dębowych
 W dzień nizaliśmy obok stodoły.
I bez siodła na koniu galopem
Podjeżdżaliśmy aż na pastwisko,
Każdy z nas mógł w przyszłości być chłopem,
Lub pastuchem, by słuchać wyzwiska.
 Wynosiliśmy z wody mulistej
 Wiązki siana na plecach na łąkę,
 I pół mili w bagnisku ilastym
 Całe dni tam musieliśmy błakać.
Sierpem cały dzień żęliśmy żyto,
Za żniwiarką wiązaliśmy snopy,
Najeść się nie dawali do syta,
A zwoziliśmy zboże do szopy.
 Jednak zawsze w języku ojczystym
 Rozmawialiśmy wciąż między sobą,
 Mową, znaną tam nam od kołyski,
 Którą matka mówiła do grobu.

Rozmawialiśmy w szkole na przerwach,
Tak jak z matką w swym domu, z rodziną,
A kto z mowy się śmiał, mógł oberwać,
Mógł ucierpieć od nas w rękoczynach.

Znać musieliśmy mowę państwową,
Bo uczono nas jej w naszej szkole,
A cerkiewne modlitwy, ich słowa,
Pamiętaliśmy tak, jak swe pole.

Nas uczono tych słów od kołyski,
Potem uczył ich ksiądz prawosławny,
A obrządek i styl bizantyjski
Nas zachwycał patosem pradawnym.

Choć cierpiałem w te dni niewygody
Od upału, od mrozu i głodu,
Ale czułem się zdrowy i młody,
Tych dziecinnych lat bardzo mi szkoda.



1960 r. Warszawa. Boże Narodzenie. Od lewej: autor,
Halina Szwed i Nina Szatyłowicz (żona autora).

LOS MOJEJ MATKI

Życiowy los matki mej był niełaskawy,
Jak los na Podlasiu milionów wieśniaczek,
Przeżyła trzy wojny totalne i krwawe,
A w czasie uchodźstwa męczarnie żebraczek.
 Błąkała się gdzieś po rosyjskich zagonach,
 Poznała tam głód oraz strach beznadziei,
 Wracała do domu w dziurawych wagonach
 Pół roku, jak żółw, po zniszczonej kolei.
I bezład zastała w drewnianym swym domu,
Zarośłym pokrzywą i ostem dokoła,
A osy huczały na dachu, na słomie,
I w środku, jak w ulu, bawiły się pszczoły.
 I mieszkać samotnie zaczęła w tej chacie,
 Dopóki nie wrócił mój ojciec z daleka,
 I po nim zjawiłem się ja w rezultacie
 Jak truteń wleciałem do pustej pasieki.
Lecz prędko do ojca zaśmiało się szczęście,
Bo państwo przyznało mu emeryturę.
Założył fundament pod nowy dom wreszcie,
I opuściliśmy domek obskurny.
 Dom nowy przywitał ją, jak gospodynię,
 Tam nam gotowała obiady, śniadania,
 I krowy doila, karmiła też świnię,
 I szykowała nam pościel do spania.
Sadziła w ogrodzie ogórki, fasolę,
Kapustę i marchew, i inne jarzyny,
Ziemniaki do bruzdy wrzucała na polu,
Plewiła poletka obsiane lnem sinym.
 Ten len wyrywała, gdy był już dojrzały,
 I ziarno wybiwszy, moczyła gdzieś w stawie,
 A potem z paździerzy ten len oczyszczała,
 Międlila, cesała, suszyła na trawie.

I sierpem na polu co rok żęła zboże,
Zbierała rękami, wiązała je w snopy,
Składała je w mendel podobny na stożek,
Znak na nich robiła, jak doszła do kopy.
 I z wody z mokradła w słonecznej spiekocie
 Nosila wiązanki czy siana, czy ziela,
 A zimą siedziała i na kołowrocie
 Zmieniała na nitki z lnu, z wełny kądziele.
I tkala z tych nitek zwijanych na szpule
Tkaniny i płótna na słońcu bielone,
I z niego nam szyła bieliznę, koszule,
I piękne ręczniki na święte ikony.
 By w cerkwi posłuchać liturgii świętej
 Do Kleszczel piechotą szła ponad godzinę,
 Chleb sama upiekła, pierogi, pulpety,
 Z ziół leki robiła dla całej rodziny.
I przyszła raptownie wojenna pożoga,
I wieś zajarzyła się barwą pasową,
Jej mąż został kulą zabity przez wroga,
Bez niego swą starość przeżyła jak wdowa.
 Została już tylko tam z córką nieletnią,
 Bez męża, sieczkarni, stodoły i konia.
 Choć wioska spłonęła w tym czasie doszczętnie,
 To dom jej ocalał szczęśliwie od ognia.
I z córką zbierała urodzaj na polu,
Musiała postawić dwa chlewy przy domu.
Błądziłem w tym czasie w niemieckiej niewoli,
Czy wrócę nie było wiadomo nikomu.
 I kiedy znów do niej wróciłem wesoły
 Z wojskowym plecakiem, lecz już bez oręża,
 Posłała mnie uczyć się zaraz do szkoły,
 Choć ciężko jej było żyć z córką bez męża.
Gdy liceum wkrótce skończyłem z jej woli
I mnie skierowano na studia nad Nowe,
Zięć zjawił się u niej, by pomóc na roli,
Zbudować stodołę, wwieść konia do chlewu.

Choć było jej lżej razem z córką i zięciem,
Starczało jej pracy też w zimie na mrozie,
Pokarmy nosiła dla świń, dla cielęcia,
I chcieli ją zmusić do pracy w kołchozie.
Swe wnuczki musiała kołysać po nocach,
A cztery ich miała na swe stare ręce.
Zbierała w ogrodzie jarzyny, owoce,
I grzała potrawy na małej fajerce.
Gdy dano mi pracę z mieszkaniem w Warszawie,
Zjawiała się często, jak słońca promienie.
Na ślubie mym w cerkwi, jak moja obstawa,
Patrzyła na tych, co trzymali nam wieniec.
Gdy u mnie przeżyła pół roku lub więcej,
Wychodząc na spacer i ciesząc się z nami,
To potem wracała do wioski młodzieńczej,
By razem pomieszkać ze swymi wnuczkami.
Przed ślubem najstarszej swej wnuczki wybranki
Wydała dla śmierci ostatnie swe tchnienie.
I zawsze los matki mej biednej włościanki,
Żyć będzie w mych trwałych życiowych wspomnieniach.



1961 r. Autor z córką Ireną w Wiśle Głębcie.

W RODZINNEJ WSI

Niczego prawie już tu nie ma
Z dzieciństwa mego w mojej wiosce,
Gdyż teraz nawet ostra zima
W niej bywa bardzo rzadkim gościem.
 Już domów nie ma wśród strzech siwych
 Z napisem nazwisk mych znajomych,
 Ich dawno nie ma pośród żywych.
 Spotykam ludzi niewiadomych.
Żurawi nie ma, sercu miłych,
Co nad studniami stały ciągiem,
Bo woda czysta, jak krew w żyłach,
Do domów płynie rurociągiem.
 Już bruku nie ma przez wieś całą
 Z kamieni polnych przy podwórkach,
 Nie jeżdżą po nim wozy małe,
 Od których słyszać było turkot.
Bo gdzie był bruk, tam leży asfalt,
Czernieje on, jak chodnik z gumy,
Jak gdyby rzeką płynął bazalt,
Z zapachem innym niż perfumy.
 Mych śladów nie ma w okolicy,
 Gdzie się bawiłem, gdzie chodziłem,
 Pozostał tylko dom rodziców,
 Podobny, jak go zostawiłem.
Nad domem tym piorunochrony
Z komina sterczą ponad dachem.
Dziesiątki lat bez tej ochrony,
Przeżywał burze on bez strachu.

WSPOMNIENIA Z PODLASIA

ZIMĄ W CHACIE

Za mym oknem leży puch pierzyny białej,
Cisza naokoło, ani jednej duszy,
Dom mój zasypało śniegiem okazałym,
Czuję się przyjemnie w tej odludnej głuszy.
 A przez szybę widzę kolor nieba siny,
 I nie błądzi na nim ani jedna chmura,
 Nie dochodzi zapach dymu czy spaliny,
 I nie słysząc ptaków dźwięcznej uwertury.
W śniegu się zanurzył sad aż po gałęzie,
W białych swych papachach stoją w rzędach drzewa,
Jak żołnierzy oddział, spoglądają wszędzie,
By na pochód ruszyć, razem coś zaśpiewać.
 Patrzy w moje okna i na śnieg na dachu,
 Bo on razem z mrozem strasznie mu dokucza,
 Chciałby szybko zrzucić ciężkie swe papachy,
 Ale cicho stoi, nawet nie zamruczy.
A mnie w chacie ciepło, piec jest napalony,
Włączam telewizor, szperam w Internecie,
Dziś nie stuka wicher w szyby, jak szalony,
Na ekranach widzę, co się dzieje w świecie.
 Patrzę na ekranie, w Afryce jest lato,
 W Rio de Janeiro jest korowód cudny,
 Znudzi mi się ekran, książek pełna chata,
 Wezmę i poczytam jakiś tekst nienudny.
Pokazało w oknie słońce złotą minę,
I promieniem jasnym oświetliło pokój,
Napełniłem kielich rubinowym winem
I wypilem rażno za szczęście i spokój.

OBUDZIŁA SIĘ PRZYRODA

Obudziła się przyroda
Z drzemki swej zimowej,
Przywitała dźwięczną odą
Wiosnę kolorową.

Wnet ubrała w zielen drzewa,
Tka na łące dywan,
I zachęca ptaki śpiewać,
Dzieci kwiaty zrywać.

Przyleciały dwa bociany
W gnieździe są na kole,
I klekoczą już od rana,
Chłopu na stodole.

Szemrze niedaleko rzeka
Kryształową wodą,
A od rzeki niedaleko
Idą gęsi młode.

Dzieci bawią się za szkołą,
Słysząc śmiechy głośnie...
Ludzie cieszą się dokoła,
Bo już przyszła wiosna.



1955 r. Piastów. Autor z synem Jurkiem.

KUKUŁKA

Idę sam na skraju lasu,
Wiatr mi szepcze coś do ucha,
Słuchać go mi szkoda czasu,
Gdyż on brzęczy mi, jak mucha.
 Słów też jego nie rozumiem,
 Coś mi wróży po kryjomu,
 O spotkaniu coś mi szumi
 Za godzinę ze znajomą.
Raptem z boku mi kukułka
Policzyła moje lata,
Przypomniała mi gżegżółka
Moją matkę z dużą siatą.
 Tutaj kiedyś w gęstym lesie
 Z nią zbierałem często grzyby,
 Obok w stawie gdzieś pod jesień
 Nieraz z nią łowiłem ryby.
I pamiętam, jak kukała,
Jej kukułka wiele wiosen,
Wywróżyła jej kabałę,
Wojnę, pożar, walkę z losem.
 Teraz tutaj długą chwilę
 Mnie liczyła lata szybko,
 Naliczyła mnie ich tyle,
 Że dostała w lesie chryпки.

PIĘĆ GEORGINII

Uśmiechnęła się pąsowa georginia,
Jak dziewczyna bardzo piękna w mym ogrodzie,
Powiedziała mi płatkami swą opinię
O nie bardzo sprzyjającej jej pogodzie.

Niech nie mówi jej tu nikt o żadnym cudzie,
I dlatego chce zakwitnąć w mym wazonie,
Żeby u mnie zachwycali się nią ludzie,
Że wygląda, jak królowa w swej koronie.

Rozpaliła się czerwona georginia,
I jak ogień zapłonęła z dzikiej złości,
Bo ją nazwał jakiś dziwak raz brekinia,
Słowo to doprowadziło ją do mdłości.

Gdyż na miłość ona czeka, nie na drwinę,
Kpin nie lubi, tylko słyszeć chce pochwały,
I jest zła, że rośnie obok ścieżki z gliny,
Drży, jak chodzą blisko buty i sandały.

Zaszumiała obok żółta georginia,
Jak jedwabna złota suknia w cichym wietrze,
Popatrzyła twarzą krnąbrną, jak dziewczyna,
Jak bursztyny skrzyła w słońcu na powietrzu.

I chwaliła się, że płatki błyszczą złotem,
Cieszą się słonecznym pokrewieństwem,
Wyglądają w blasku słońca, jak klejnoty,
Chcą zachwycić cały świat i człowieczeństwo.

Umierała już liliowa georginia,
Widać było posiniały każdy płatek,
I jak starsza na tych grządkach gospodyni,
Chciała słyszeć głos pochwały na ostatek.

Inne dalej nie szepnęły jej ni słowa,
Nie pocieszył nikt tu starszej georginii,
Choć nie czekał ich tu lepszy los życiowy,
Również z czasem, tak jak ona muszą zginąć.

Jak jutrzienka, stała biała georginia,
I jej białe, jak śnieg płatki wciąż migaly.
Jak duch biały, jak nieznana nam bogini,
Nad daliami, nad grządkami górowała.
I patrzyła w niebo, w siną dal bez końca,
Jakby Boga chciała gdzieś na górze dojrzeć,
A z zenitu zachwycalo się nią słońce,
Pocałunki wysyłało jej z przestworzy.



1959 r. Piastów. Irena – córka autora.

JESIENNY WIATR

Jesienny wiatr nam stroi drwiny,
Rozrzuca żółte liście z drzew,
Porusza grona jarzębiny,
I mruczy im żałobny śpiew.

Nam przypomina czas gorący,
Miodowy zapach kwiatów z łąk,
Kolorów tęczę szokującą,
Jak pachniał w sadach każdy pąk.

Jak niedaleko nad ruczajem
Rozpędził on tumanu kłęb,
Jak natknął się nad pięknym gajem
Na bardzo stary duży dąb.

I przypomina też dąbrowy,
Gdzie pocałował każdy liść,
Jak w sadzie gęstym przypadkowo
Z winogron zerwał całą kiść.

Jak na polanie nad uszami,
Postraszył gwizdem kilka par,
Jak przelatując nad krzewami,
Zobaczył w lesie duży jar.

Teraz już słońce tak nie grzeje,
Nie widać kwiatów pośród traw,
Murawa żółta już czernieje,
Ścierniska ciemne, mętny staw.

W dąbrowach nie ma już listowia,
Gałęzią gołą macha bez,
Choruje niebo, traci zdrowie,
I z niego płyną fale łez.

Wiatr był podobny do kaduka,
Ze złości niby chwycił łom
I im po dachu mocno stuka,
Aż drży od wiatru cały dom.

MEDYTACJE I WSPOMNIENIA

ORACZ

Dziś jestem oraczem i brzydzę się wojny,
Choć kiedyś jak żołnierz walczyłem na froncie,
Bo lubię oglądać w dzień piękny spokojny,
Jak kwitnie na polach urodzaj na słońcu.

I pragnę, by wszędzie na świecie był pokój,
Bym zawsze bez strachu mógł tutaj siać zboże,
By wojny nieznosne bożyszcze głęboko
Do Lete wstąpiło, w jej rzece, w bezdroże.

I żeby zostało w otchłani podziemnej,
Zabrawszy ze sobą konflikty, niezgody,
A u nas nie było już kalek wojennych,
By żyły w przyjaźni dokoła narody.

Nie chciałbym już nigdy spoglądać na rany,
Choć sanitariuszem już byłem w szpitalu,
Nie cierpię wybuchów, jak grzmiały huragany,
Jak łuny pożarów gdzieś widzę w oddali.

I słyszeć już nie chcę armatnich wybuchów
I chować się nie chcę w piwnicach, okopach,
Bo wolę na łące być konia pastuchem,
I na nim harcować po drodze galopem.

Chcę wąchać dokoła zapachy traw, kwiatów,
I słuchać na polu i w lesie śpiew ptaków,
Niż słyszeć, jak blisko stękają armaty,
Niż widzieć żołnierzy, jak giną w ataku.

Dlatego nie znoszę, że władcy w mym kraju,
W daleką obczyznę, na cudze tereny
Kwiat naszych żołnierzy na front wysyłają,
By tam umierali od kul, ran, gangreny.

Jak dzika hałastrą bezczelnie, zuchwale
Tam będą pomocą dla złych okupantów,
I cudze narody dla innych zniewalać,
Czy służyć dla obcych sił za dywersantów.
Tu jestem oraczem i wojna mi zbrzydła,
Chcę pole zaorać, gdzie zboże posieję
By los był łaskawy, nam Ziemię oskrzydłał,
I na niej spełniła się nasza nadzieja.



1959 r. Warszawa. Jerzy i Irena, syn i córka autora przy choince.

SZKODA

Tak mi przykro, że nigdzie nie mogę pożyczyć
Mej młodości beztroskich i pięknych mych lat,
I dziś znowu ich przeżyć bez zła i goryczy
Tych, którymi obdarzył w tym czasie mnie świat.

Nie groziłoby teraz mnie w nocy zesłanie
Na daleki Kazachstan, do Syberii ciąć las,
I nie stałbym w kolejce za mydłem, ubraniem,
Partyzanckich nie znałbym kryjówek i tras.

Tu nie przeżyłbym teraz dwóch wojen światowych,
Po obczyźnie nie błądził około trzech lat,
Nie pełzałbym po śniegu w rynsztunku bojowym,
A z okopów nie mógłbym już strzelać, jak kat.

Już nie znałbym kanonad, ich huku i pisku,
Nie leciałyby na mnie, jak grad, setki kul,
Nie poraniłby mnie tu odłamek z pocisku,
I mnie minąłby szpital i rany, i ból.

Gdybym znowu mógł zostać tu młodym i zdrowym,
Twarz mieć gładką bez zmarszczek, być szybkim, jak trzmiel,
Moje życie by poszło po drodze już nowej,
I bez starych pomyłek znalazło swój cel.

Jednak bałbym się zostać tu dziś bezrobotnym,
Mieć obawę, że z pracy wyrzucą na bruk,
I nie chciałbym być teraz bezdomnym samotnym,
Gdzieś od chłodu przez zimę się chować, jak kruk.

Gdyby mogły przejść lata młodości spokojnie
Do mnie teraz przez życia nieznaną mi sień,
I tu mógłbym je przeżyć bez strachu i wojny,
Ja bym Bogu dziękował i w nocy i w dzień.

Jednak nikt już nie zmieni praw ciężkich przyrody,
Moja młodość nie wróci, bo ma już mnie dość,
Do starości przywykłem już, jak do pogody,
I gdy nawet ból czuję, nie męczę mnie złość.

KROPLA NA TWARZY

Gdy ona weszła, na jej twarzy
Błysnęła kropla niby diament,
I, jak latarka, w niej się żarzy
Pod okiem czarnym, jak atrament.
 W tej kropli zobaczyłem morze
 I blask siniego oceanu,
 Złociste pole, na nim zboże
 Wśród dojrzałego gaolianu.
I jasne niebo, szare chmury,
Miganie gwiazdek kolorowych,
I rubinowych gwiazd kontury,
I błyski ognia szmaragdowych.
 I wpadał blask jej do źrenicy
 I pod jej brwiami on migotał,
 Z powieki jej, jak z okiennicy
 Sygnały dawał szczerozłote.
Spojrzała potem szybko w lustro,
Z uśmiechem odwróciła skroń,
Błyszcząca kropla niby iskra
Upadła jej na piękną dłoń.



1976 r. Armenia. Autor przy jeziorze Sewan.

GDZIE JEST MOJA MŁODOŚĆ?

Gdzie me dzieciństwo, gdzie młodość jest moja?

Dokąd tak szybko odeszłyście w dal?

Biegłyście tak, jak na koniach kowboje

Prerią szeroką, a tak mnie was żal.

 Został w pamięci mi wspomnień mych pęczek

 Gorzkich i słodkich, i dobrych, i złych,

 Często, gdy cieszył mnie piękny blask tęczy

 Śmierci straszyły mnie ostrzem swym kły.

Pożalowała mnie śmierć w czas wojenny,

Pieść jej rąbnęła mnie w oko, jak łom.

Szedłem z obczyzny sam szlakiem kamiennym,

Jednak wróciłem, gdzie stoi mój dom.

 Potem mój los był przyjemny, kochany,

 Przeżyć te chwile znów chciałbym nie raz .

 Młodość odeszła w świat dla mnie nieznany,

 Nikt nie pokaże, gdzie przykrył ją głaz.

Spadła, jak kamień rzucony do wody,

Leży głęboko w kryjówce ze skał,

Nigdy nie wyjdzie, nie zazna swobody,

Jej nie wyciągnie ni fala, ni szkwał.

 Strumień dna rzeki bez żalu przewróci

 Nawet pod skałą ukryty gdzieś pień,

 Ale młodości mej los mi nie zwróci,

 Nawet nie przyjdzie już do mnie jej cień.

CIEPŁO

Trzeba by ciepło zjawilo się wokół,
Wtedy nam z kajdan wyzwoli lód rzekę,
Wtedy w niej woda popłynie potokiem
Prosto do morza na północ daleką.

Trzeba by ciepło ogrzało wszcz pola,
By obudziło rośliny zaspane,
Zazielenięją wnet łąki, topole,
I zaśpiewają im ptaki od rana.

Trzeba troszeczkę nam ciepła dla duszy,
Żeby zakwitła, jak kwiaty, w nas miłość,
Która nienawiść by mogła zagłuszyć
Ona by duszę od wad wyleczyła.



1962 r. Warszawa. Od lewej: ojciec chrzestny syna,
S. Chmielnicki z żoną Danutą, autor z córką Ireną, oraz
syn autora, Jerzy.

KARUZELA ŻYCIA

Na karuzeli życia wokół osi
Kręcimy się dość szybko i bez przerwy,
Wir nasze lata, jak kosiarka, kosi,
Do wspomnień wkłada je, jak do konserwy.
 Przyjaciół swoich spotykamy często
 I karuzela nas rozgania po przestrzeni.
 Widzimy wrogów, którzy kręcą się tam gęsto,
 I często dręczą nas ich czarne cienie.
Zmieniają się we wrogów przyjaciele,
I straszą, podrzucając nas do góry,
Chcą często nas wyrzucić z karuzeli,
I pokazują w wirze swe pazury.
 Nie wiemy, jak postąpić z nimi wtedy,
 Choć wciąż dążymy do jakiegoś celu,
 Starając się uniknąć jakiejś biedy,
 Zmieniamy miejsce wnet na karuzeli.
I tam zapominamy o swym celu starym,
Bo nowy zobaczyliśmy przed sobą,
Jak gdyby droga kolia, złote czary
Błysnęły nam w tym czasie, jak ozdoba.
 Lecz nie czujemy od nich już osłody
 I robi się nam mdło przed ruchem każdym,
 Bo werwy już nie mamy i sił młodych,
 Bo starość przyszła do nas podczas jazdy.

CHWILE SZCZĘŚCIA

Momenty szczęścia niby iskry
U ludzi serca oświetlają,
Lecz w zmroku jednak gasną bystro,
Do szoku ich doprowadzają.
 Bo ciężko ludziom być w ciemności,
 Nie widząc w życiu perspektywy,
 Jak los nie daje im pewności,
 Że człowiek będzie znów szczęśliwy.
Jak bezrobotny znajdzie pracę,
To szybko martwić się przestanie.
Choć on się na niej nie wzbogaci,
Nie będzie męczyć go czekanie.
 Lecz dalej niby miecz nad głową
 Mu będzie grozić bezrobocie,
 Zabierać chęć do życia, zdrowie
 I jak wilkołak straszyć w nocy.
Nieszczęścia z głodem, z nędzą, z krzywdą
Stwarzają w świecie groźne bunty,
Rewolucyjnych gwałtów szyldy,
I niebezpieczne dzikie junty.
 Gdy bunt zakończy się zwycięstwem,
 Przywódcy jego wezmą władzę,
 A buntowników tylko klęski
 Spotkają gdzieś na barykadzie.

LUDZIE I WOJNA

Ziemia drży ciągle od wojny pod nami,
Nam pokazuje swe rany i blizny,
Przyzwyczajamy się do niej latami,
Wierząc, że krew, to dla ziemi talizman.

Ciągle na ziemi strzelają armaty,
Giną od bomb tam kobiety i dzieci,
Gdzieś wybuchają pociski, granaty,
Łuny pożarów szaleją na świecie.

Choć zamykamy od zgrozy swe oczy,
Gdy telewizor pokaże śmierć ludzi,
Długo nie śpimy, męczymy się w nocy,
A gdy zaśniemy, nas ciężko obudzić.

Przyzwyczajamy się z wolna do zgrozy,
Którą przyniosła dla ludzi gdzieś wojna,
Ciężko dla wojny nam znaleźć diagnozy,
I przeżywamy ją coraz spokojniej.

Wojna daleka nas straszyć przestaje,
Wielu z nas bawi się nią ze spokojem,
Gdyż nasze życie nie stało się rajem,
Mamy tak samo kłopoty tu swoje.

Mamy korupcję, złodziejstwo masowe,
Mamy zgłodniały tłum ludzi bezdomnych,
Strach bezrobocia i klęsk żywiołowych
Od deszczów, pożarów i wichrów ogromnych.

Chociaż żyjemy nie bardzo szczęśliwie,
Wielu szkaluje bestialstwa tych wojen,
I agresorów potępia złośliwie,
Winą obarcza w szerzeniu rozboju.

Władzy nie lubi już większość narodu
Za popieranie agresji zbyt hojnie,
I za służalczość zaborcy, za zgodę
Koszty, ofiary ponosić w tej wojnie.

GDY W DAL GDZIEŚ BIEGNIECIE

Ludzie, gdy w dal gdzieś biegniecie,
Spójrzcie za siebie do tyłu,
Może tam powódź na świecie,
Dom wasz czy skarb zatopiła.
 To, co stworzyliście w życiu
 Może gdzieś gnije czy płonie.
 Lepiej ratować go idźcie,
 Niż gnać galopem na koniu.
Spójrzcie przed biegiem na dzieci,
Może już płaczą stęsknione,
Patrzą, czy do nich przyjdziecie,
Z oczu im wytrzeć łzy słone.
 Jak zostawicie je same,
 Życie wam ktoś zbałamuci,
 O was zaginie w nich pamięć
 I nikt im jej nie przywróci.
Dla nich będziecie, jak z puszczy,
A gdy stracie swe siły,
Do domu swego nie wpuszczą,
Nie znajdą waszej mogiły.



1987 r. Indie. Autor we wsi w pobliżu Bokaro.

PROMETEUSZ

W górach Kaukazu przykuty do skały
Był Prometeusz z Zeusa rozkazu,
Orzeł wątrobę mu rwał przez dzień cały,
Która przez noc odrastała od razu.

Zeus go skazał na męki za zdradę
Za to, że wykradł z Olimpu on ogień,
I podarował go ludziom na radość,
Przyniósł im go w tajemnicy przed bogiem.

Rosła mu w nocy zniszczona wątroba,
Żeby mógł orzeł ją zjadać bez przerwy,
Choć nie groziła mu żadna choroba,
Drżały mu z bólu przez cały czas nerwy.

Cierpiał, bo ludziom on pomógł w dni chłodne
Ogrzać pieczarę, kryjówkę w gęstwinie,
Strawę gotować dla sytych i głodnych,
Bydło hodować i konie, i świnię.

Tak wyglądała zapłata u bogów,
Dobroć dla ludzi im była załobą,
Orzeł ich słuchał, tytana kłuł srogo,
Bo smakowała mu jego wątroba.

Orzeł nie lękał się zimy i burzy,
Dźwięku przykutych łańcuchów do skały,
Włosów skrwawionych dokoła zbyt dużych,
Które przez wieki oplótły mu ciało.

Tytan z nadzieją się tam nie rozstaje:
Myśli, że litość zawita do boga,
Zwolni go z męki i wpuści do raju,
Ludziom zostawi skradziony ten ogień.

,

BYWAJĄ NOCE

Bywają noce, jak pokuta,
Gdy sen ucieka w siną dal,
I leżę jak niewolnik skuty,
Nabity na katowski pal.

Coś duszę ciśnie, boli ciało,
A w głowie czuję chaos, szok.
Me myśli w szumie karnawału
Spadają w ciemny stromy stok.

Przychodzą potem wspomnień roje
Z młodości lat, z ostatnich chwil,
I przebiegają, jak kowboje,
Widoki z przejechanych mil.

Gdy światło w oknie się pojawi,
W objęcia bierze cichy sen,
Nad bólem, co przez noc mnie trawi,
Zadzwiczy Morfeusza tren.



1953 r. Autor w Leningradzie na skwerze.

NIE MA JUŻ CIEBIE

Na brzegu piaszczystym nad nami latały
Wesołe krzykliwe śmiejące się mewy,
A z głębin fal morskich przez prawie dzień cały
Słyszeliśmy muzykę, bajki i śpiewy.

A potem ruszyliśmy wzdłuż brzegu morza
Daleko, gdzie już nie widzieliśmy ludzi,
Na wschodzie czerniało przed nami bezdroże,
I ciemność złapała nas gdzieś na bezludziu.

Na piachu usiedliśmy razem przy brzegu,
A ty przytuliłaś się do mnie swym ciałem
I w dźwiękach czarownych przyboju morskiego
W objęciach nam serca w takt jego stukwały.

I przy pocałunkach mi ciągle mówiłaś,
Że wierną na zawsze w miłości zostaniesz.
W twych słowach odczułem i pewność, i siłę
Nieznana mi wcześniej przed naszym spotkaniem.

I tam uwierzyłem w twą miłość prawdziwą,
I w twoich pieszczotach tam dałem ci słowo,
Że kocham cię mocno i będę szczęśliwy,
Gdy wkrótce gdzieś razem spotkamy się znowu.

I raptem na miesiąc przed naszym spotkaniem
Dostałem wiadomość od brata twojego,
Że w górach wysokich na śliskiej polanie
Zginęłaś w wypadku w lawinie ze śniegu.

Wskoczyła wiadomość, jak wicher, do serca

Już dawno po twoim tragicznym wypadku,

Nie mogłem zobaczyć ni ciebie, ni miejsca,

Gdzie śmierć cię złapała wśród śniegu ukradkiem.

Znajduję w twych listach płomiennych, jak zorza,
Nadzieję na ślub nasz w miłości namiętnej,
Wspominam nasz wieczór na piasku nad morzem,
Twych ust pocałunki gorące, ponętne.

I z tobą już tylko spotykam się razem
Sam we śnie nad morzem, całując cię czule,
Tam oczy twe błyszczą, jak w świetle topazy,
Gdy mnie obejmujesz i do mnie się tulisz.



1961 r. Wisła Głębce. Autor z synem Jerzym.

NIE CZUJĘ SIĘ SAMOTNY

Nie czuję się w życiu samotny,
Gdy jestem sam jeden bez ludzi,
Czas biegnie mi w tempie zawrotnym,
Brakuje mi go, by się nudzić.
 W swym życiu mam pracy do woli,
 I nigdy na splin nie choruję,
 W objęciach jej słodkiej niewoli
 Tęsknoty i smutku nie czuję.
Przyjmuję ją tu, jak zabawę,
Jak dziecko, z nią bawię się skrycie.
I w pracy codziennej i żwawej
Przebiega mój czas, moje życie.



1962 r. Jurata na Helu. Irena i Jerzy - córka i syn autora.

SŁOWIK

Nie trzymajcie słowika w mieszkaniu gdzieś w klatce,
Bo nie będzie w niej śpiewać samotny w niewoli,
Tak jak ryba z bazaru zadusi się w siatce,
Tak i słowik zamknięty zmarnieje powoli.

Nie będziecie na niego spoglądać z radością,
Zobaczywszy, jak stoi za kratą ptak smutny,
I sumienie zamęczy was razem ze złością,
Gdy przed śmiercią zaskrzeczy on głosem okrutnym.

Nie trzymajcie słowika gdzieś w klatce za kratą,
Jak najszybciej wypuście przez okno na drzewo,
Na gałęzi niech siądzie wysoko, jak kwiatek,
I niech cieszy się z wami wolnością i śpiewa.

Pasożyty niech łapie, niech zjada komary,
Niech nocami spogląda z drzew gęstych na gwiazdy,
Przyjaciółkę niech znajdzie dla siebie do pary,
I zbuduje z nią razem w zaciszu swe gniazdo.



1962 r. Jurata. Autor z Kazimierą Godek.

STATEK

Płynął raz statek po mglistej przestrzeni,
Mocny wiatr dmuchał i pchał jego żagle,
Widział gór skały, ogrody w zieleni,
Czasem głos ludzki usłyszał gdzieś nagle.
 Często spotykał on sztormy i burze,
 Walczył z żywiołem i huraganem,
 Zawsze po groźnej na morzu wichurze
 Słońce leczyło go ciepła balsamem.
Żagle i pokład schły wtedy od piany,
Gdy się pokazał dysk słońca u góry,
Fale huśtały stateczek sterany
W blasku promieni spod niebios bez chmury.
 Stali na warcie przez noc marynarze,
 Czujnie patrzyli na fale pyskate.
 Z mapą przy sterze kapitan na straży
 Szukał, gdzie mógłby skierować swój statek.
Raptem usłyszał on szumy przyboju,
Statek zatrzymał się, jak na wezwanie.
Brzeg zobaczyli i w dobrym nastroju
Szukać zaczęli pomostu przystani.
 Choć przepłynęli wśród burz oceany,
 Wszystkie kłopoty po drodze odczuli,
 Jednak tej ziemi przez los obiecaney
 Tu nie znaleźli, szukając jej z bólem.

ROZCZAROWANIE

Na sąsiednim balkonie naprzeciw mojego,
Gdy świeciły na słupach latarnie – balony,
Na tle lampy za oknem koloru białego
Oglądałem przepiękną kobietę z balkonu.

Wychodziłem co noc ją oglądać z zachwytem,
Gdy zjawiała się smukła na swoim balkonie,
W sukni pięknej różowej, w staniku odkrytym,
Wyglądała z daleka, jak panna w welonie.

Do mnie często z uśmiechem palcami machała,
W odpowiedzi kiwałem jej ręką z ukrycia,
Jak do bliskiej znajomej, co dawno mnie znała,
Chociaż nigdy się z nią nie spotkałem w swym życiu.
Czasem palce do ust przykładła w pośpiechu,
Wysyłając mnie z nich pocałunek gorący,
Wtedy drgała jej twarz od radości i śmiechu,
Aż z nią kiwał się razem jej stolik błyszczący.

Wtedy zawsze czekałem na żarty jej, śmiechy,
Na figurę jej zgrabną szlachetnej urody,
Oglądając ją czułem niemało uciechy,
Byłem wtedy, jak sztubak, wesoły i młody.
Aż na znanym balkonie pewnego wieczoru,
Zamiast pięknej dziewczyny stanęła w mgle, w cieniu,
Jakaś chuda staruszka bez werwy, wigoru...
A o starej znajomej zostały wspomnienia.

PORY ROKU

Choć w okno jesień groźna
Błysnęła swoją twarzą,
To w sercu moim wiosna
Mnie kwiatkiem kwitnąć każe.
 Nie czuję złej pogody,
 Szczęśliwy i wesoły,
 Jak kiedyś uczeń młody
 Do domu wbiegł ze szkoły.

Ustawiam wnet radiołę
Brzmi muzyka znajoma.
Jak wiosną słowik w polu,
Piosenki śpiewam w domu.
 Mnie czasem nawet wiosną
 Jesienny rój kłopotów
 Ogarnie z szumem głośnym,
 Jak dzień pogodny, słota.

Choć słońce na podwórzu
Cudownie błyszczy wszędzie,
W sen smutku się zanurzam,
I śpię, jak ptak na grzędzie.
 Nie cieszy mi się dusza,
 Że czas przyjemny, cichy,
 Bo, jak jesienią, w uszach
 Odczuwam deszcz i wicher.

Gdy minie przygnębienie
To cieszę się, jak wiosną,
Choć zimy groźnej cienie
Za oknem słychać głośno.

GDY BÓL Z ROZTERKI CI SIĘ ZDARZY

Gdy ból z rozterki ci się zdarzy,
I mnie nie znajdziesz w swym pokoju,
Nie szukaj nigdzie tam lekarza
A stań przy oknie ze spokojem.
 Tam przy nim powiedz prostą mową,
 Co ciebie męczy, co cię wścieka,
 Poczuję duszą twoje słowa,
 Jak będę nawet gdzieś daleko.
Telepatycznie ci pomogę,
Jak dobry lekarz z powołania.
Daremnie nie płacz, moja droga
I nie rozpaczaj przy czekaniu.
 Gdy dalej będziesz ból odczuwać,
 To zapal w swym pokoju świecę,
 Jak orzeł wtedy zacznę fruwać,
 I do pokoju twego wlecę.
Wtedy uściskam ciebie mocno,
I twoje usta pocałuję,
Zanikną bóle twe samotne,
Od razu zdrową się poczujesz.



1967 r. Świnoujście. Na plaży autor z żoną Niną.

ADAM I EWA

Adam i Ewa tuż po pracy
Weszli w objęciach do szałas,
Pokochać się na materacu,
Przygotowane zjeść frykasy.
 Przypominają czas swój w raju,
 Gdzie owoc był w zasięgu ręki
 W przepięknym sadzie obok gaju.
 Nie znali głodu tam i męki.
Nie było jednak tam kochania,
Ni pocałunków, ni miłości,
Rozkosznych westchnień i czekania
Na chwile pieśzczot w namiętności.
 Dlatego raju im nie szkoda
 Poznawszy miłość, smak pieśzczoty,
 Choć walka każdy dzień z przyrodą,
 Przynosi troski i zgryzoty.
Tam nie przeżyliby radości,
Patrzac na dzieci, jak harcują,
Jedynie swej nieśmiertelności,
Co tam stracili, tu żałują.
 Myśl smutna chodzi im po głowie,
 Że śmierć pokona ich i dzieci,
 Lecz cieszy, że ich potomkowie
 Panować będą w całym świecie.

SKRZYDŁA

Oderwały się skrzydła od ptaka,
Upadł on i choć żywy jest jeszcze,
Nie ma siły tam nawet zapłakać,
I w ogrodzie sam leży na deszczu.

A bląkają się skrzydła po niebie,
Wprowadziła ich wolność w ekstazę.
Im do szczęścia niczego nie trzeba,
Gdy im władca nie daje rozkazów.

Zachwycają widoki ich stare,
Krajobrazy i pola, i łąki,
Cieszą się, że dobrana z ich para,
Obawiają się tylko rozłąki.

Mocny wiatr nagle z chmury nadleciał,
I dwa skrzydła rozerwał na boki,
Bez litości ich rzucił do śmieci,
I porwały ich deszczu potoki.

I w potoku wód, walcząc wytrwale,
Widząc śmierć, wtedy już zrozumiwały
Gdyby był z nimi władca, to dalej
One w trójkę by wspólnie latały.

A tak ginie z nich każdy oddzielnie,
Nic nie wiedzą o losie drugiego.
Razem dalej latałyby dzielnie,
Każdy widziałby ptaka żywego.

ZE STRACHEM SŁUCHAM WIADOMOŚCI

Gdy słucham tu codziennie strasznych wiadomości
O tych przestępstwach popełnianych w okolicy,
To widzę, że już one z szumem do nas w gości
Zuchwale i nachalnie przyszły z zagranicy.

Majaczy mi się, że bandyci z Europy
Tu przylecieli niby os brzęczących zgraje,
Jak ciepłym latem wiosłonogie złe cyklopy
Pozapełniały wszystkie bagna i ruczaje.

To jednak z naszych miast, z niejednej naszej gminy
Bandyci, mając w ręku noże i sztylety,
Zdawali pierwsze w naszym kraju egzaminy,
Gdy napadali na bezbronne gdzieś kobiety.

I, widząc nieporadność władz, korupcję, zdrady,
I przy tępieniu przestępczości, i niszczeniu,
Przestępcze mafie utworzyły swe brygady,
Nie bojąc się surowej kary i więzienia.

I wyrósł narkotyczny biznes szybko, skrycie,
I krwawa wojna weszła na ich rynek zbytu,
Żarłoczność i pieniądze zabierały życie:
Bandyci mordowali często też bandytów.

Stworzyły mafie swe oddziały i brygady,
I zatopiły nasze życie w czarnym brudzie,
Bo popłynęła krew, bo w biały dzień w napadach,
Zaczęli strzelać, grabić i zabijać ludzi.

Już niebezpiecznie stało się na naszych drogach,
Zabija się kierowców, kradnąc samochody,
Pieniądze odbierają blisko swego progu,
Złodzieje okradają starych oraz młodych.

Już czują ludzie strach w mieszkaniach i kwaterach,
Tym bardziej w swoich willach, w pojedynczych domach,
Złodzieje zwinni są, jak w Afryce pantery,
Jak koty z dachu zejda, drzwi wyważą łomem.

A pomocnikiem zbrodni było bezrobocie,
Bo głód kieruje młodzież w łapy bandytyzmu,
Bez pracy traci wstyd, wrodzony czyn dobroci,
Nabywa chciwość, gniew i skłonność do sadyzmu.
Korupcja i złodziejstwo na wierzchołkach władzy,
Rabunki i morderstwa – temat wiadomości,
Codziennie leci z gazet, jak z kominów sadza,
Zatruwa ludziom życie, straszy ich i złości.



1962 r. Gdańsk. Nina, żona autora z dziećmi, Ireną i Jerzym
na statku wojennym.

NIEODEBRANA ODPOWIEDŹ

Los nas poznał w lipcowy poranek
Tuż przy bachczysarajskiej fontannie,
Gdy zwiedzaliśmy dla nas nieznany
Pałac krymskich tatarskich złych chanów.
Mnie złapałaś raptownie za rękę,
Chciałaś tylko, bym dał ci porękę,
Że tam widzisz nie sen, nie złudzenie,
Tylko pomnik – prawdziwe zdarzenie.

Potem często spędzałem czas z tobą,
Moją byłaś w objęciach ozdoba,
Gdy pod wierzbą siedzieliśmy w cieniu,
Czarowały mnie twoje wspomnienia.
Byłem z tobą w Nikickim ogrodzie,
W barach piliśmy likier na miodzie,
A na kutrze huśtały nas fale,
I błyskały, jak w słońcu korale.

Nadszedł czas tam naszego rozstania,
Więc zadałaś mi jedno pytanie,
A po bardzo obfitym obiedzie
Nie zdążyłem ci dać odpowiedzi.
A nie chciałaś spokojnie poczekać
W mig odeszłaś bez słowa daleko.
Ze zmartwienia zamarłem, jak skała,
Bo adresu mnie swego nie dałaś.

Potem ciebie szukałem zawzięcie
Po twych śladach gorących po świecie.
Nie znalazłem cię nigdzie w rozterce,
I odpowiedź schowałem w swym sercu.

CHOCIAŻ SMUTNO MI

Chociaż smutno mi, czasem dokoła
Pokazuję, że cieszę się z życia,
Władzę mojej młodości wesoło
Przekazuję starości w ukryciu.

Niechaj każdy to wie, że mi sprzyja
Moje zdrowie, błyszczące, jak diadem,
Niech się dowie wróg groźny, jak żmija,
Że nie robi mi ran swoim jadem.

Niech zazdrości: mam tyle zapachu
I żywotnej i mocnej mej siły,
Niech mnie widzi twardego, jak skała,
Że nie będę zbyt szybko w mogile.

Lekkomyślnie nie powiem nikomu
O nabytej zbyt ciężkiej chorobie,
Żeby bliska osoba w mym domu
Nie cierpiała, nie była w żałobie.

Swego żalu nikomu nie niosę,
Ból przecierpię już sam, bez polemik,
Bo przyszedłem, by kochać na ziemi,
A nie męczyć swych bliskich mym losem.



1972r. Sopot. Autor na molo.

GDZIEŻ JEST SPRAWIEDLIWOŚĆ

Śmierć już dawno macha kosą w jednym kraju,
I pod ostrzem kosi ludzkie w mękach giną,
Winowajca wojny bawi się, jak w raj,
Cieszy się w pałacach, pijąc rum i wino.

Tam na chodnikach ludzka krew się leje,
Bardzo wiele trupów leży naokoło,
Winowajca śmierci, widząc ich się śmieje,
Patrzy, jak na futbol raźnie i wesoło.

Tam łomoczą czołgi, straszą samoloty,
I strzelają z armat do małych dzieci,
Winowajca wojny żyje bez kłopotów,
Jeździ, jak bohater, na przyjęcia w świecie.

Gdzież jest sprawiedliwość, że ten krzykacz dziki
Z grupą rzezimieszków chętnych do łupieży,
Co wzbogacić pragną swe naramienniki,
Wysyłają na śmierć w walkach swych żołnierzy.

Gdzież jest sprawiedliwość, jak codziennie ginie
Od bomb, kul, odłamków wiele młodych chłopców?
Gdzież jest sprawiedliwość, gdy w jakiejś krainie
Chodzi z potrzaskami pełno wrogich łowców?

Ludzie schorowani piją zioła, leki,
Nie znaleźli lekarstw od napadów zbrojnych.
Bóg nie potrzebuje męki od kaleki,
By nam umierali synowie na wojnie.

POMÓŻ LOSIE

Pomóż losie spotykać przez lata
Wiele razy radosne dni wiosny,
Z nią zachwycać się barwą jej kwiatów
I zapachem czeremchy i sosny.

Zdrowie dobre podaruj mi losie,
Odpędź wszystkie choroby dostojnie,
By mi praca przyniosła pokłosie,
Bym zapomniał o walkach na wojnie.

Więcej siły podaruj mi losie,
Żebym naprzód mógł biec aż do celu,
By zaczęty mój bieg w twórczym krosie
Nie miał przeszkód na drodze mej wiele.

Więcej szczęścia podaruj mi losie,
Żeby mnie nie męczyły zgryzoty,
Bym w życiowym codziennym chaosie
Nie miał cierpieć z duchowej tęsknoty.

Mnie nie żałuj niczego, mój losie,
Daj mi wszystko, co tylko dać możesz,
To na twórczym życiowym mym stosie
Całe swoje bogactwo położe.

Chcę, by lud Białorusi wraz ze mną,
Nie znał wojny i czuł się szczęśliwy,
By tam kwitły, jak kwiaty wiosenne,
Jej osiedla i miasta, i niwy.

JEŻELI RAPTOWNIE

Jeżeli raptownie zamarzniesz gdzieś w zimie,
Przypomnij tam nasze dalekie spotkania,
Jak grzało nam słońce na plaży na Krymie,
Czy w Soczi nad morzem, na małych przystaniach.
Przypomnij tam Adler, Picundę, Batumi,
I Gagrę cudowną, wśród kwiatów aleje,
Jak kutrem płynęliśmy wprost do Suchumi,
Na pewno wspomnienia te ciebie rozgrzeją.

Jeżeli raptownie gdzieś światło ci zgasło,
Samotność cię straszy czy widok kłów smoczych,
Przypomnij tam lato, autobus nasz w Jaśle,
Jak słońce świeciło przez szybę nam w oczy.
Jak tam zasłanialiśmy okna tkaniną,
I oczy chowaliśmy w cień histerycznie,
A przechodziły promienie szczeliną.
Przypomnij, a światło w źrenicach zabłyśnie.

Jeżeli raptownie zagubisz gdzieś drogę,
Zabłądzisz gdzieś w gęstych, jak las, koleinach,
Zawołaj na pomoc mnie z bólem i trwogą
A szybko przylecę do ciebie w gościnę.
Przypomnij swą rozpacz i noc w Erewaniu
Hotelu szukałaś, zmyliłaś kierunek,
I wtedy przyszedłem na nasze spotkanie.
Przypomnij i przyjdę ci znów na ratunek.

Wspomnienia niech będą dla ciebie osłoda,
Gdy będziesz iść wszędzie życiową swą drogą,
Mnie wspomnij, jak spotkasz się tam z niewygoda
Czy strach gdzieś poczujesz w swym domu przed progiem.

SMUTNA PORA

Cieężko się zrobiło
Smutną cichą porą,
Serce zatęskniło
Wstąpić do klasztoru.
 Mógłbym tam modlitwę
 Zmówić za swą duszę,
 Nie pamiętać sitwy,
 Krzywd ich i katuszy.
Pieśni bym posłuchał
Świątych pod habitem,
Przeszła by mi skrucha
Za winy przeżyte.
 Brzydkiej, złej pogody
 Tam bym nie odczuwał,
 Miałbym tam wygody,
 Żyłbym bez harówki.
Z aniołami w święto
Byłbym gdzieś wysoko,
Błyskałbym diamentem
W ciemnej nocy mroku.
 Czułbym się tam w celi
 Młodym i bogatym,
 Mógłbym się weselić
 Tam przez długie lata.
Ołtarz i obrazy
Dają moc splendoru...
Serce chce od razu
Wstąpić do klasztoru.

ZAWOŁAJ MNIE

Dziś zawołaj mnie głosem przeżyłym,
Oświeć drogę mi swymi oczami,
Dodaj ciepłym spojrzeniem mi siły,
Dotknij ręce me swymi rękami.

Ci zaśpiewam o wiosnie piosenkę,
Kiedy z tobą spędzałem czas razem,
Wtedy miałaś szalową sukienkę,
Wprowadzałaś w gorącą ekstazę.

Nas ucieszy majowa pogoda,
Starość w przepaść wrzucimy głęboko.
Radość życia wesółą i młodą
Z tą piosenką popłynie wysoko.

Niech dopłynie do gwiazd gdzieś w przestworza,
Niech zaświeci promieniem, jak słońce,
I niech z nieba oświeć las, morza
Tęczę świetlną od końca do końca.

I otulę zmysłową pieszczotą
Twoją talię cudowną, twarz, ręce,
I zabiorę ci z serca kłopoty,
Dźwięki miłe poczujesz w podzięce.

Nazwę ciebie mą miłą, kochaną
I przepiękną cudowną dziewczyną,
Od radości zostaniesz pijaną
I zatańczysz mi, jak baleryna.

Mówię tobie to wszystko bez żartu.
Kiedy znudzisz się żyć w samotności,
Mnie zawołaj, więc ruszę do startu,
Znów do ciebie przybędę z miłością.

TAK CHCIAŁBYM POPATRZEĆ

Tak chciałbym dożyć i zobaczyć,
Co będzie za lat dwieście,
Czy ludzi starość będzie straszyć,
Czy będą bać się śmierci?
Czy ludzkość wtedy się pozbędzie
I głodu, i sklerozy?
Czy mały mikrob dalej będzie
Przenikać dreszczem zgrozy?
Czy będą czuć się wszyscy naraz,
Jak bohaterzy w bajkach?
Nie będzie męczył ludzi marazm,
Więzienie i nahajka?
Czy już nie będzie wtedy wojny,
Kradzieży i napadów?
We władzach będą ludzie hojni,
Nie będzie darmozjadów?
Czy między ludźmi będzie zgoda,
Nie będzie nienawiści?
Czy już nie będzie wśród narodów
Zazdrości i zawiści?
Nie wierzę, że po dwustu latach,
Głód będzie męczyć ludzi,
Umierać będą w kazamatach,
A bomby będą budzić.
Że śmierć tak samo jak i teraz
Zamęczy gdzieś w więzieniach,
Że będą ludzi straszyć nieraz
Choroby, przeziębienia.

NASZE MARZENIA

Zniewolić nam nie można marzeń,
Nikt nie zastraszy ich więzieniem,
Zależne są od naszych wrażeń,
I nieuchwytne są, jak cienie.
 Odległość dla nich nie istnieje,
 Nie mają przeszkód ani granic,
 Przechodzą morza i mierzeje,
 Nie straszy grom ich, blask błyskawic.
Nikt nie ma siły ich zniewolić,
I nikt nie wyda im rozkazu,
Nie wpadną nigdy do niewoli,
Z pomocą przyjdą nam od razu.
 Latają, jak ptak srebrnopióry
 Wysoko w niebo i w dal siną,
 Na skały wchodzą i na góry,
 Pływają rażno w fal głębinach.
Głęboko wchodzą do pieczary,
I do kopalni, na bezdroża,
I w batysferach na poczwary
Przez okno patrzą na dnie morza.
 I tworzą świat swój doskonały
 Bez wad, bez przywar, ułomności,
 I widzą same ideały
 W poczuciu ich sprawiedliwości.
Nie ważna będzie niespoistość
Ich wszystkich intryg, różnych zdarzeń,
Bo prawda oraz rzeczywistość
Nie zawsze jest istotą marzeń.

LUDZKI LOS

Dlaczego los jest zły dla jednych ludzi

Bo daje im cierpienia i choroby?

A innych, jak czarodziej dobry zbudzi,

Przynosząc im brylanty i ozdoby?

Dla jednych daje biedność, głód i bóle,

A drugim – sławę, władzę i bogactwo,

Gdyż los niedobry może złapać króla

I przynieść mu nieszczęście i wariactwo.

I los zdradziecki może zajrzeć w oczy,

Z początku berło władzy da w nagrodę,

Szczęściarza potem rzuci na pobocze,

Spotkają go mitręgi, niewygody.

Napoleona pogłaskała taka dola,

Do Moskwy mu sprzyjała jego wena,

A potem dostał się on do niewoli,

I znalazł śmierć na wyspie Świętej Heleny.

Los zsyła też upały oraz mrozy

Na lud, plemiona, kraje i narody,

Fanatyzm religijny i psychozy,

Prowadzą ich do wojny i niezgody.

Najgorzej, gdy los przyśle wojnę srogą,

Gdy zjawia się nieznani im żołdacy,

Na polach ruń zamienia na odłogi,

Na puste place, domy i pałace.

Los czasem karze władców, wodzirejów,

Tych co zaczęli wojny lub napady.

Na świecie jednak dalej krew się leje,

Nie milkną w nim wojenne kanonady.

DROGA MLECZNA

Miliardy planet, gwiazd rozsianych,
I roje komet, ciał bajecznych,
Stworzyły wszechświat nam nieznanym,
W którym widzimy Drogę Mleczną.

Jej galaktyczny dysk wydęty
Przez noc się błyszczy od wieczora,
Tam gdzie widzimy menisk wgięty,
Tam Drogi Mlecznej jest opora.

I dookoła niej się kręci,
Jak dysk na starym patafonie.
Jak kolia droga, jasno świeci
Wysoko w niebie na plafonie.

Oporę tę, masywną wielce,
Znaleźli ludzie w dziurze czarnej.
Rumieni się Gwiazdozbiór Strzelca
Za nią daleko, jak lukarna.

A masa jej, to są miliony
Lub więcej mas podobnych słońcu,
Do dziury tej trafiły one
I będą siedzieć w niej bez końca.

Nie może wyjść z jej głębokości
Ni dźwięk, ni promień, jak z pieczary,
I ciemność tą na wysokości
Nazwali ludzie dziurą czarną.

I w rojach gwiazd na Drodze Mlecznej
Przy jednym słońcu jest planeta
Gdzie są zwierzęta, ptaki rzeczne,
Mężczyźni żyją i kobiety.

Tam życie widać naokoło,
W pieczarach ciemnych, w oceanach,
Tam kwiaty śmieją się wesoło
Na polach, łąkach i polanach.

I tam się zjawił raptem człowiek,
Którego celem jest oświata,
I on od dawna spod swych powiek
Zagłada wewnątrz do wszechświata.
I już na Księżyc on zalecał,
W przestrzeni bada wiatr słoneczny.
Kosmiczne sondy z mnóstwem sieci
Rozrzucił on na Drodze Mlecznej.



1963 r. Krutyń na Mazurach. Autor z córką Ireną, żoną Niną,
synem Jerzym..

STRACH

Każdej żyjącej istocie
Strach jest, jak woda, konieczny,
Chować się zmusza w spiekocie,
Grzać się w dzień chłodny i wietrzny.
Lepszy on jest od odwagi,
Zawsze od śmierci nas chroni,
W czasie głodówki czy plagi
Zmusza nas ciągle się bronić.

Każę strach nabrać nam siły,
Żeby nie zginąć od wroga.
Z dała od każdej mogiły
Stara się znaleźć nam drogę.
Strzeże nas strach od przemocy:
Żeby rozpoznać bandytę,
Szersze żrenice da w nocy,
Czując gdzieś jego wizytę.

Wstydzić się nigdy nie trzeba
Strachu przed groźnym bandytą,
Boi się nawet ameba,
Żeby nie zostać zabita.

Każdy z nas wojny się boi
Nawet, gdy widzi z daleka,
Żołnierz zaś drży w paranoi,
Żeby nie zostać kaleką.

Czasem z rozpacz i strachu
Można dokonać zabójstwa,
Bojąc się nędzy i krachu,
Popełnić gdzieś samobójstwo.

Bywa, że boją się ludzie
Latać wśród chmur samolotem,
Boją się miast, na bezludziu
Wolą żyć tylko samotnie.

Ludzie się boją wichury,
Męki z powodu choroby,
Złych kataklizmów natury,
Każdej grożącej żałoby.

Boją się też alpiniści,
Zdobywający gór szczyty,
Motocykliści hobbyści,
Lotnik ze sterem obyty.

Czują strach ludzie na morzu,
Gdy ich kołysze wichura,
Błądząc na dzikim bezdrożu,
Gdy od piorunów grzmi chmura.

Strachu się wstydzić nie trzeba,
Zawsze i wszędzie jest z nami,
Chroni, jak anioł stróż z nieba,
Nas przed naszymi wrogami.



1961 r. w Warszawie nad Wisłą. Autor z synem Jerzym
i Wiesława Lipka z synem Arturem.

ŻELAZNA KURTYNA

Nas kiedyś żelazna kurtyna
Chroniła od bliskich nam ludzi,
Tych, którzy za twardą chityną
Żyć mieli i w głodzie, i w brudzie.

Nas strzegła od groźnych powiewów
Nieznanych nam cudzych idei,
I od zaraźliwych wyziewów
Trującej śmierdzącej z nich brei.

Nas mocno broniła od wrogów,
Co zniszczyć nas chcieliby siłą,
Od strasznych drapieżnych rarogów
Co piliby krew naszą w żyłach.

A jednak przez twardą zasłonę
Czuć było francuskie perfumy,
W eterze leciały, jak dzwony,
Odgłosy głębokiej zadumy.

Nas wielu zaczęło już wierzyć
Że jest za kurtyną dobrobyt,
Że wszędzie są tam milionerzy,
Nie męczą ich żadne choroby.

A kiedy zniszczyła kurtynę
Wzburzona wśród ludzi czereda,
Znalazła tam piękną witrynę,
A za nią i rozpacz, i biedę.

Bo jest tam bogactwo wraz z nędzą,
Są biedni, bezdomni, bez pracy,
A ludzie bez zdrowia, pieniędzy
Tam żyją, jak nasi żebracy.

LOS CZŁOWIECZY

Czy człowiek może należycie
Swoją wybrać los, życiową drogę?
Czy będzie lumpem całe życie?
Czy oficerem? Pedagogiem?

Do setki lat dożywa jeden,
A drugi młodo świat porzuca,
Trzeciemu nawet przeszkód siedem
Pomaga w życiu, nie dokucza.



1962 r. Wieś Czeremcha. Autor ze szwagrem
Danielem Wnuczką.

JESTEŚMY GOŚĆMI

W tym świecie pięknym i radosnym
Będziemy gośćmi bardzo krótko,
Jak kwiaty cudne każdej wiosny,
Więdniemy w cieple powolutku.

Dopóki w blasku słońca mogą
Wilgocią deszcze nas obdarzać,
Modlimy się do swego Boga
Przed wyświęconym mu ołtarzem.

Dziękując mu za los z patosem,
Za piękno bliskiej nam natury,
Cieszymy się, jak albatrosy,
Co morze oglądają z góry.

Uśmierci kwiaty chłodna jesień,
Nam starość zjawia się przed progiem,
Świat będzie ciasny już, jak kieszeń,
Zamęczą nas choroby, trwogi.

I czuć będziemy, że nas tutaj
Nie długa czeka już gościna,
Że już kończymy swą marszrutę,
Nadchodzi dla nas odpoczynek.

I zapytamy siebie wtedy,
Czy coś zasialiśmy na świecie,
Czy też pamiętać będą kiedyś
Nas nasze wnuki, nasze dzieci?

ŚWIAT BYWA BEZLITOSNY

Świat bywa bardzo bezlitosny,
Nie widać szczypty w nim współczucia.
Dokoła słychać płacz donośny
Od ran, od bólu, od zatrucia.

Gdzie spojrzysz wszędzie widać biedę,
Jest pełno bosych, z głodu sinych,
A bogacz chytry ani jeden
Nie czuje nigdzie swojej winy.

W pałacach jedni wśród arrasów,
A inni marzną gdzieś na schodach,
Bogacze jedzą tam frykasy,
A biedni umierają z głodu.

Widzimy w życiu tylko walkę
Za chleb, za wodę, za kwaterę,
Z rywalem każdym lub z rywalką,
Za sukces, sławę i karierę.

U jednych pot się leje w pracy,
A drudzy biednych okradają,
A trzeci kradną, jak żołdacy,
Lub na bogaczy napadają.

Nie boi się pasożyt wcale
Ni kary boskiej, ni złych czarów.
Przedwczesna śmierć albo paraliż
Dla nich najlepszą będzie kara.

SAMOTNY GITARZYSTA

Poszedłeś w starym swym surducie
Z gitarą w rękę po kryjomu
Po starej znanej ci marszrucie
Na miejsce dobrze ci znajome.

I położyłeś czapkę starą
W pobliżu nóg na trotuarze,
I jak w teatrze przed kotarą,
Zacząłeś grać na swej gitarze.

Tam grałeś i śpiewałeś z wdziękiem
O mękach zdrady i miłości,
Ze strun leciały gamy dźwięków
Pobudzające do radości.

Swą duszę oddawałeś, talent,
A żyłeś w nędzy, nie w rozkoszy,
Za twoją pracę ekwiwalent
Był bardzo mały, parę groszy.

Za te miedziaki za dzień chłodny,
Dziś kupisz trochę chleba w sklepie,
I w nocy już nie będziesz głodny,
A jutro może będzie lepiej.

I chodzisz śpiewać tak codziennie.
I choć na ciebie nikt nie czeka
W pokoju małym, jak więzienie,
Na los swój ciężki, nie narzekasz.

PIENIĄDZ

Pieniądz u ludzi stał się celem życia,
Wabi ich zawsze, jak światło w pieczarze,
Bawi, jak dzieci zabawka z ukrycia,
Często nieszczęście przychodzi z nim w parze.
 Kupisz za niego złą przyjaźń u ludzi,
 Będą przed tobą, jak małpy skakały,
 Będą cię chwalić okrzykiem papuzim,
 Witać cię będą armatnie wystrzały.
Kupisz za niego bandytów bez liku,
Którzy twych wrogów uśmiercą wściekłą złą,
Zniszczą na drodze twych przeciwników,
Dadzą kochance twjej groźną truciznę.
 Tworzy niesnaski, prowadzi do wojny,
 Niszczy to wszystko, co tworzą narody,
 Zły jest, gdy naród gdzieś żyje spokojny,
 Sieje wśród ludzi truciznę niezgody.
Ludzie za niego swe życie oddają,
Kradną bogacze go biednym bez wstydu,
Jednak choć żyją w rozkoszy, jak w rajach,
Czasem poczują do siebie ohydę.
 Choć bez pieniądza już żyć nikt nie może,
 Ale nie wolno go grabić bezczelnie.
 Bo gdy na łożu grabieżcę położą,
 Może go męczyć przed śmiercią sumienie.

NARKOMANKA

Drobny deszcz płucze błyszczące jej włosy,
Kurz na ulicy oślepia jej oczy,
Lecą tuż za nią szyderców odgłosy,
Śmiechy i kpiny po śladach jej kroczą.
 Biegnie ulicą zziąjana, zdyszana,
 Mruczy coś sobie przy każdym budynku,
 Kiedy lunęła ulewa, jak ściana,
 Nie zatrzymała jej kroków do rynku.
Wbiegła w zaułek, na chwilę stanęła
W mokrej sukience, w drgające swe ciało
Białą narkotyk swą igłą wstrzyknęła,
I na ulicę spojrzała już śmiało.
 Mgłę ołowianą poczuła w swej głowie,
 Boleć przestała po igle jej blizna,
 Czuła dokoła jedynie pustkowie,
 I zatrzymała jej myśli trucizna.
Tu zapomniała swe krzywdy dziewczyna,
Że ignorują ją wszyscy znajomi,
Ojciec postraszył już ją karabinem,
Groził jej śmiercią, gdy wróci do domu.
 Matka tak samo już jej nienawidzi,
 Wie już, że brat do niej czuje odrazę.
 Leży na bruku we śnie, nic nie widzi,
 I od nikogo nie słyszy obrazy.

MDLEJE WARSZAWA

Mdleje Warszawa na cichych ulicach
Nigdzie nie widać ni lampki, ni świeczki,
Tylko przechodzą wśród szpar w okiennicach
Nicie promieni czy światła wstążeczki.
 Strasznie po bruku przechodzić forsownie,
 Można tu złamać i nogę, i rękę,
 Mogę tu spotkać bandytę raptownie,
 Który uderzy mnie w plecy czy w szczękę.
Idę po ciebie sam, tylko dlatego,
By odprowadzić cię pewnie do domu,
By nie spotkało cię tutaj coś złego,
By nie nastraszył cię ktoś po kryjomu.
 Szukam omackiem w ciemności tej drogi,
 Po trotuarach przechodzę, jak ślepy,
 Ledwie poznaję tu cudzych drzwi progi,
 W nogach ból czuję, mijając wertepy.
Raptem zabłyśło światelko w dwóch oknach,
W domu, gdzie wreszcie spotkamy się razem,
Deszczyk już kropi, będziemy więc moknąć
Bez parasoli, bez płaszczy zarazem.
 Z miłą radością mnie wtedy spotkałaś,
 Do mnie podeszłaś, nie patrząc na słotę,
 Wpadłaś w objęcia me, pocałowałaś.
Razem do domu wróciliśmy potem.

GDY SAMOTNIE TĘSKNIĘ W NOCY

Gdy samotnie tęsknię w nocy,
Mnie nie razi mrok i ciemność,
Widzę wtedy twoje oczy,
Czuję, że znów jesteś ze mną.
Czuję w tobie szum oddechu,
Oraz w piersi serca bicie,
W twoich oczach błysk uśmiechu,
Jak całujesz mnie sownicie.
Gdy dokuczy otchłań nocy,
To zapalę szybko świecę
I w promieniach jej gorących
Widzę los nasz, czar poświęceń.
Widzę wszystkie nasze trwogi,
Przyszłe pożądania duszy,
Naszą nową w życiu drogę,
Jej zakręty i katusze.
Póki widzę ogień świecy,
Czuję dotyk twój kobiecy.



1976 r. Od lewej: Irena, córka autora, N. Turczyk, autor z żoną Niną.

CO PRZYJEMNIEJSZE MOŻE BYĆ OD CISZY

Co przyjemniejsze może być od ciszy,
Gdy patrzę sam z balkonu w ciemność nocy,
Gdzie naokoło w nieba czarnej niszy
Plejady gwiazd błyszczących cieszą oczy.

Wypłynął na południu nów księżyc
I pajęczyny żnie utkane z chmury,
I raptem za nią znikł, jak za przyłbicą,
Zabrała chmura go do swej kabury.

Lecz ostrzem swym on przebił ją, jak łomem,
Wypłynął sam do gwiazd i łśni humorem,
I rzucił światło swe na okna domów,
I błyszczą one niby semafony.

I w tej niewoli nocnej sennej ciszy
Cudowny mnie spotyka odpoczynek,
Na niebie grzeją gwiazdy z czarnej kliszy,
Jak zimą w domu grzeje mnie kołnierz.



1963 r. Jezioro Śniardwy. Stoją od lewej żona autora Nina z córka Ireną i autor.

W DNIU URODZIN

Grona czerwonych jarzębin
Śnieżna przykryła plandeka,
Wróbli ćwierkanie z ich głębin
Słysząc dokoła daleko.

Doszłaś do okna w pokoju,
Ucichł już szum rannych godzin,
Tam przypomniałaś w spokoju:
„Dzisiaj dzień moich urodzin”.

Dzisiaj jest twoja rocznica,
Pamięć ci twoja zawodzi,
Widok jarzębin, śnieżycy
Pamięć o święcie odrodził.

Weszłaś pod prysznic do wanny,
Nową włożyłaś sukienkę,
I powiedziałaś do ściany:
„Byłam tu kiedyś panienką”.

Łzy wypełniły ci oczy:
Młodość już jest za górami,
Smutek oblicze otoczył,
Przeszedł, jak film przed oczami.

Z siebie zerwałaś sukienkę,
Z żalu rzuciłaś daleko,
Poszłaś znów włączyć kuchenkę,
Podgrzać i napić się mleka.

POCIĄG PRZEMIJANIA

Mój pociąg biegnie w otchłań nocy,
Migają tuż za oknem cienie,
Jak kamyk wyrzucony z procy,
Szybuję w mroczną dal przestrzeni.

Bo księżyc schował twarz za chmurę,
I nie zabłyśzczy nawet świetlik,
Za oknem słysząc szum wichury,
Odczuwam w głowie dziwny mętlik.

I dokąd pędzę, jak zaszczyty,
W pobliżu lasów pól i sadów?
Mijają lata, jak minuty,
Nie zostawiając żadnych śladów.

I dokąd mnie żywioły losu
Po szynach czasu zaprowadzą?
Czy zrzucą na dół mnie ze skosu?
Czy zginę pod tyrana władzą?

I pociąg pędzi na gór skraju,
Nieznane mi są jego dzieje,
Czy biegnie w piekło czy do raju,
Codziennie męcząc się, starzeję.

W pociągu widzę światło rankiem
Lecz potem znów przychodzi szarość,
Jednak za którymś mym przystankiem
W podróży swojej spotkam starość.

SONETY W ALBUMACH

OCZAROWANIE

Jolancie B.

Gdy cię spotkałem wczoraj nieoczekiwanie,
Raptownie oślepiłaś mnie pięknością swoją,
Zamknawszy oczy, byłem tak oczarowany,
Że pomyślałem, iż bogini obok stoi.

Twój dźwięczny śmiech obudził wtedy mnie z letargu,
Ocknąłem się, ujrzałem blask spojrzenia twego,
Gdy stałaś, jak bogini na wapiennym piargu,
I lśniłaś, jak aureola u świętego.

Lecz twe objęcia miękkie, niby puch łabędzi,
I pocałunki słodkie w usta, w twarz i wszędzie,
Mnie przekonały, że objęła mnie dziewczyna.

I teraz wolny czas spędzamy tylko razem,
I z tobą cieszę się, i kocham się zarazem.
I chwile te będziemy często przypominać.

Czerwiec 1954 r. Warszawa.

TEŚKNOTA

Klaudii Z.

Nie porównuję twojej piękności z różą,
Bo nie ma w niej uśmiechów twych dziewiczych,
Bo zwiędnie zawsze róża, nawet w mróz nieduży,
Od mrozu różowieje piękne two oblicze.

Twój uśmiech cieszy mnie, jak klejnot niebywały,
Bo usta two piękniejsze są niż każdy kwiatek.
Gdyż w życiu naszym mamy piękna bardzo mało,
Uroku, wdzięku odczuwamy niedostatek.

Jak każde dziecko chce mieć słodkie podarunki,
Tak czekam cały czas na twoje pocałunki,
Bo dla mnie one są, jak dzieciom ich słodycze.

Tęsknota męczy mnie po każdym pożegnaniu,
A zawsze cieszę się, gdy przyjdiesz na spotkanie,
Zachwycam się, gdy widzę piękne two oblicze.

Listopad 1952 r. Leningrad.

RAHNEDA – POŁOCKA KSIĘŻNICZKA

RAHNEDA W NOWOGRODZIE WIELKIM

Aż do Nowogrodu wieźli Waregowie
Z Połocka Rahnede nieprzytomną, bladą.
Na bułanym koniu zawsze w pogotowiu
Książę Nowogródzki jechał za nią śladem.
 Ją na rozkaz księcia wnieśli do pałacu,
 Położyli ją na łożu z baldachimem,
 Niedaleko okna z widokiem na placyk,
 W wielkiej pięknej sali przy ścianie z kilimem.
Wezwał tam lekarkę szybko do dziewczyny,
Do opieki nad nią, zawsze być przy chorej,
Dawać jej lekarstwa z sokiem żurawiny,
Żeby zapomniała, co się stało wczoraj.
 Tydzień przeleżała chora tam w gorączce,
 Nie wydała słowa, tylko słabe jęki,
 Czasem jej zadrgało ciało w mocnej śpiączce,
 Albo poruszyła lekko swą powieką.
Książę co dzień wpadał do pokoju chorej,
I przychodził nawet często do niej w nocy,
Powiadomić prosił, gdy jest nocna pora,
Że Rahneda raptem otworzyła oczy.
 Kładła jej lekarka na głowę kompresy,
 I zmywała pot jej z twarzy oraz z ciała,
 Zioła jej robiła z kwiatów, z aloesu,
 I poila nimi często lecz pomału.
A na trzeci tydzień nieoczekiwanie
U księżniczki raptem mrugnęły powieki,
Usta jej zadrgały z jękiem z głębin krtani,
Na jej twarzy pojawiły się wypieki.
 I lekarka wnet podbiegła do dziewczyny,
 I objąwszy ją po twarzy pogłaskała.
Chora się ocknęła z przerażoną miną,
„Gdzie ja jestem?” – ze zdziwieniem zapytała.

„W domu, Gorysława, w swoim już pałacu!
 Nie księżniczką tu jesteście, a kniahinią!” –
 Mówiąc, poprawiła koc na materacu –
 „W domu tym będziecie pierwszą gospodynią.”
 Jednak chora znów zamknęła swe powieki,
 I przez sen przez chwilę cicho mamrotała,
 Gdy lekarka znów jej dała swoje leki,
 Je wypiwszy, cichuteńko powiedziała:
 „Gdzie kochany ojciec? Co się stało z mamą?
 I dlaczego braci nie ma tu na straży?
 Słyszę, jak szaleje wróg za naszą bramą...” –
 Popłynęły jej rzęsiste łzy po twarzy.
 Zawoławszy straż lekarka im krzyknęła,
 Żeby powiadomić księcia o kniahini.
 Kiedy książę przyszedł chora znów zasnęła,
 Piękna twarz jaśniała jej, jak u bogini.
 I na trzeci dzień otwarła znowu oczy,
 I patrzyła wokół, czując strach, zdziwienie,
 Gdy widziała, że za baldachimem kroczy
 Postać w dziwnej sukni, jak kobieta w cieniu.
 Bo nie pamiętała łoża i pokoju,
 Jak trafiła tutaj, jak zachorowała,
 I dlaczego ból nie daje jej spokoju,
 I dlaczego czuje w ranach całe ciało.
 Wtedy napłynęły z Połocka wspomnienia,
 Gdy do miasta wbiegły hordy złych Waregów,
 W czasie wielu dni krwawego oblężenia,
 Przypomniała bieg morderców z ich szeregów.
 Zobaczyła ojca, matkę oraz braci,
 Gdy, jak niewolników wwiedli ich do księcia,
 I jak ich męczyli, jak ich miała stracić,
 Kiedy książę w złości całkiem tam zbydlęciał.
 Dalej zapomnienie... głowy nieomaga –
 Nie wie, czy rodzice z braćmi jeszcze żyją,
 Przypomniała tylko, że jechała drogą,
 I że ją bolały ręce, nogi, szyja.

Czuje znów pragnienie, a przy łożu swoim
Widzi twarz kobiety blisko przy poręczu,
Zastękała głośno do niej z niepokojem:
„Proszę, pić mi dajcie, mnie pragnienie męczy”.
I lekarka szybko z werwą i pokorą,
Słodkim napoiła Rahnedę napojem,
Ciesząc się, że prośba wyszła z ust od chorej,
Pierwszy raz jej dała napój ze spokojem.
Powiedziała jej, że ona czwarty tydzień,
Leży bez pamięci, słaba i nieczuła,
Książę się ucieszy, kiedy do niej przyjdzie
I zobaczy ją, że lepiej się poczuła.
Chora drgnęła. „Książę? Jaki?” – zapytała.
„Wasz, kniahinio, mąż. Jesteście jego żoną”.
I Rahnedą ból poczuła, jak od strzały,
Jakby jastrząb wbił w jej serce ostre szpony.
„Jeszcze nie mam męża”. – powiedziała z płaczem
„A Włodzimierz książę? On jest Waszym mężem!”
Próbowała wstać ze złości i rozpacz,
Czuła, jakby pełzły po niej chłodne węże.
„O, bogowie moi! Po co taka kara?!”
Żeby sprzedać mnie dla wroga do niewoli,
Lepiej, żeby dali mi trucizny czarę...”
Rzewnie zapłakała z bólu i niedoli.
Chciała jej lekarka szybko stłumić szlochy,
Łzy jej wycierała z twarzy, na powiekach,
Zapewniała ją, że książę w niej się kocha,
I że tutaj miłość ją i szczęście czeka.
Bo ją książę przywiózł tu do Nowogrodu,
By została tutaj jego pierwszą żoną,
Przyczyniła się do wzrostu jego rodu,
Który byłby mu podporą i obroną.
Słowa te lekarki były, jak narkotyk,
Łały się przez cały czas książniczce w uszy,
Jej głaskanie, wycieranie łez i dotyk
Łagodziły wszelkie bóle i katusze.

I księżniczka przy lekarce znów zasnęła,
Sen złagodził krzywdy przez trzy dni i noce,
Nawet we śnie nigdy się nie uśmiechnęła,
Jakby ją zabrały w niebyt jakieś moce.

 Gdy ocknęła się ze snu czwartego ranka,
 To spokojnie poprosiła pić służącą,
 Ta lekarkę zawołała w mig z krużganka,
 Że księżniczka się ocknęła, nie jest śpiąca.

Gdy lekarka ugasiła jej pragnienie,
Poprosiła ją księżniczka bardzo mile,
By zmieniła przepocone jej odzienie,
Oraz usiąść pozwoliła jej na chwilę.

 Gdy siedziała jakiś czas z lekarzą razem,
 Księżę zjawił się przy nich z poważną miną,
 I poprosił on lekarkę by od razu,
 Ich tu samych zostawiła na godzinę.

U Rahnedy raptem w oczach pociemniało,
Sił nie miała, by powiedzieć mu choć słowo,
Księżę usiadł obok niej i bardzo śmiało
Wziął za rękę ją, nie czując jej odmowy.

 Prosił ją, by wybaczyła jego winę,
 Za swą zemstę nad rodziną Rahwołoda,
 Zamordował ich z zazdrości za jej drwiny,
 Bo był zawsze zachwycony jej urodą.

On ją kochał. Nigdy w sobie nie miał siły,
Żeby kiedyś oddać ją dla Jaropełka,
Zemsta ogniem zapłonęła w jego żyłach,
Jej zniewaga przy Dobryni była wielka.

 On żałuje swoich czynów bardzo dzikich,
 Nie mógł obelg jej przebaczyć i żałoby,
 Tuż po śmierci jego sławnych wojowników
 W czasie walki, kiedy Połock musiał zdobyć.

Gdyby ojciec Połock poddał mu bez boju,
Nie czekając Jaropełka w oblężeniu,
Nadał żyłby tam z rodziną swą w spokoju,
Połock z twierdzą ocalałby od zniszczenia.

Teraz chce, by ona była jego żoną,
 By mu tutaj urodziła dużo dzieci,
 Które będą im pomocą i obroną,
 By ich one rozsławiały przez stulecia.

„Już słyszałam, że przywiozłeś tu Ałowę,
 I przy sobie dawno żonę masz niestety” –
 Powiedziała mu księżniczka. Ostre słowa
 Książę poczuł, jak wyrzuty od kobiety.

„Tu nie będzie między wami pojedynku,
 Bo Ałowa nie urodzi dla mnie syna,
 I Jaropełk był żonaty też z Greczynką”,
 –Książę szybko odpowiedział jej z rutyną.

„Słabo mnie!” – księżniczka cicho powiedziała –
 Porozmyślać nad mym losem muszę sama...”.

„Myśl, nad losem nie rozpaczaj, moja mała,
 Niech ci życia nie zamroczy stary dramat”.

Wyszedł książę, a Rahneda pośród kwiatów
 Przypomniła swych rodziców oraz Połock,
 Jak spotkała kiedyś Jaropełka swatów,
 Jak cieszyła się szczęśliwa i wesoła.

Potem zjawił się Dobrynia, jak swat hojny,
 Obraziła ona jego niepotrzebnie,
 Jej pomyłka stała się przyczyną wojny,
 Na rodzinie jej książę zemścił się haniebnie.

Ona jest w mordercy jej rodziny rękach,
 O miłości do niej mówi delikatnie,
 Tylko zgoda z nim, inaczej zginie w mękach,
 Nie ma wyjścia ona z tej książęcej matni.

Gdy jedzenie przyniesiono jej z napojem,
 Pierwszy raz poczuła głód i wstała sama,
 Aby spożyć, to co dali, ze spokojem,
 I przez okno pooglądać panoramę.

I lekarkę poprosiła, żeby razem
 Z nią dokoła pochodziła po pokoju,
 I ochoczo, wykonując jej rozkazy,
 Zachwycała się lekarka jej nastrojem.

Obejrzała plac ogromny przy pałacu,
I Waregów musztrę, hełmy i ich zbroję,
Szybko w oczach pociemniało jej od płaczu,
Czując krzyki ich zachłanne do rozboju.

A na czwarty dzień podniosła się księżniczka
W łóżu swoim w bardzo dobrym już nastroju,
Czując siłę i rumieniec na policzkach,
Samodzielnie poruszała się w pokoju.

I lekarka osłupiała ze zdziwienia,
Widząc, jak Rahnedą chodzi po podłodze,
Więc patrzyła na nią cicho w osłupieniu,
Gdy ujrzała, jak na jednej stoi nodze.

A u księcia się pojawił śmiech na twarzy
Gdy zobaczył samodzielny chód kniahini:
„Pięknie Gorysławo! Cud się wielki zdarzył!
Nadzwyczajną pokazałaś mi nowinę!”

Po tygodniu przyprowadził jej Ałowę,
I zaznaczył, że pierwszeństwo ma Rahnedą,
– „Bądź pokorną jej i ucz się naszej mowy” –
Patrząc w oczy, on z powagą jej powiedział.

Pogodziła się Rahnedą z losem swoim
I pogarda wzrosła jej do Jaropełka,
Że ją w czasie oblężenia ze spokojem
Zlekceważył i nie pomógł z armią wielką.

Podburzała Włodzimierza bez żenady,
By na Kijów ruszył szybko z werwą, z chęcią,
Nie chce mieć już Jaropełka za sąsiada,
Chce, by mąż jej szybko został wielkim księciem.

I uwierzył on, że Kijów weźmie cudem,
Na wyprawę ruszył pewny i w spokoju
Przy pomocy zdrady wojewody Błudu*,
Opanował szybko Kijów kniaz bez boju.

Bo Jaropełk zwał do Rodni przestraszony,
I zostawił bez dozoru lud Kijowa,
Gdy powrócił, został szybko uwięziony,
Waregowie mu w więzieniu ścięli głowę.

A Greczynkę już ciężarną Jaropełka
Księżę przyjął bez żenady do haremu,
Dał jej działkę z domem pięknym, jak perełka.
Świętosława urodziła ona jemu.

Bardzo szybko w Nowogrodzie Gorysława
Już dla księcia urodziła jego syna,
I nazwała syna swego Izasławem,
Żeby służył on kraj cały, swą krainę.

Gdy dowiedział się Włodzimierz, że Rahnedą
Urodziła w Nowogrodzie spadkobiercę,
To z Kijowa do niej wrócił z wojsk czeredą,
By uściskać, podziękować jej od serca.

Potem rozkaz dał, by dla niej przy stolicy
Zbudowano piękną wioskę przy dąbrowie,
By mieszkała z synem w pięknej okolicy,
I rodziła spadkobierców jemu nowych.

Obie żony nagle zabrał do Kijowa,
Razem z nimi chce w pałacu być księżęcym.
Póki jeszcze będą domy im budować,
Słyszeć chce w pokojach swoich głos dziecięcy.

- Błudu – wojewoda kijowski przy księciu Jaropełku, który mu bardzo ufał, a on okazał się jego zdrajcą. Księżę Włodzimierz go przekupił, by nastraszył księcia Jaropełka, że mieszkańcy Kijowa chcą go wydać na śmierć księciu Włodzimierzowi. Księżę Jaropełk uciekł z Kijowa do miasteczka Rodnia, które wtedy leżało w miejscu, gdzie rzeka Roś wpadała do Dniepru. Gdy mieszkańcy Kijowa zobaczyli, że księżę Jaropełk ich opuścił, to bez walki poddali się Włodzimierzowi. Później wojska księcia Włodzimierza otoczyły Rodnię, Błudu namówił księcia Jaropełka, żeby wrócił do Kijowa, bo księżę Włodzimierz chce z nim się pogodzić. Gdy Jaropełk zjawił się w Kijowie, Waregowie go złapali i zabili.



1993 r. Zakopane. Morskie Oko. Autor z wnukami, Łukaszem i Grzegorzem.

Spis treści

LATA WOJNY

Pierwsza noc na froncie -----	5
Nocna strzelanina -----	7
Pod niebem lipcowym-----	9
Staremu przyjacielowi-----	10
Pomiędzy ruinami-----	12
Areszt-----	13
Pożegnanie z ojcem-----	15
Labirynt-----	17
Bieda-----	18
Moje dzieciństwo-----	20

MÓJ RODOWÓD

Cmentarz-----	21
Białoruski Orfeusz-----	23
W dzieciństwie-----	25
Los mojej matki-----	27
W rodzinnej wsi-----	30

WSPOMNIENIA Z PODLASIA

Zima w chacie-----	31
Obudziła się przyroda-----	32
Kukułka-----	33
Pięć georginii-----	34
Jesienny wiatr-----	36

MEDYTACJE I WSPOMNIENIA

Oracz -----	37
Szkoda -----	39
Kropla na twarzy-----	40
Gdzie jest moja młodość?-----	41
Ciepło-----	42
Karuzela życia-----	43
Chwila szczęścia-----	44
Ludzie i wojna-----	45
Gdy w dal gdzieś biegniecie -----	46
Prometeusz-----	47
Bywają noce-----	48
Nie ma już ciebie-----	49
Nie czuję się samotny-----	51
Słowik-----	52
Statek-----	53
Rozczarowanie-----	54
Pory roku-----	55
Gdy ból z rozterki ci się zdarzy-----	56
Adam i Ewa-----	57
Skrzydła-----	58
Ze strachem słucham wiadomości-----	59
Nieodebrana odpowiedź-----	61
Chociaż smutno mi-----	62
Gdzież jest sprawiedliwość-----	63
Pomóż losie-----	64
Jeżeli raptownie-----	65
Smutna pora-----	66
Zawołaj mnie-----	67
Tak chciałbym popatrzeć-----	68
Nasze marzenia-----	69

Ludzki los-----	70
Droga mleczna-----	71
Strach -----	73
Żelazna kurtyna-----	75
Los człowieka-----	76
Jesteśmy gośćmi-----	77
Świat bywa bezlitosny-----	78
Samotny gitarzysta-----	79
Pieniądz-----	80
Narkomanka-----	81
Mdleje Warszawa-----	82
Gdy samotny tęsknię w nocy-----	83
Co przyjemniejsze może być od ciszy-----	84
W dniu urodzin-----	85
Pociąg przemijania-----	86

SONETY W ALBUMACH

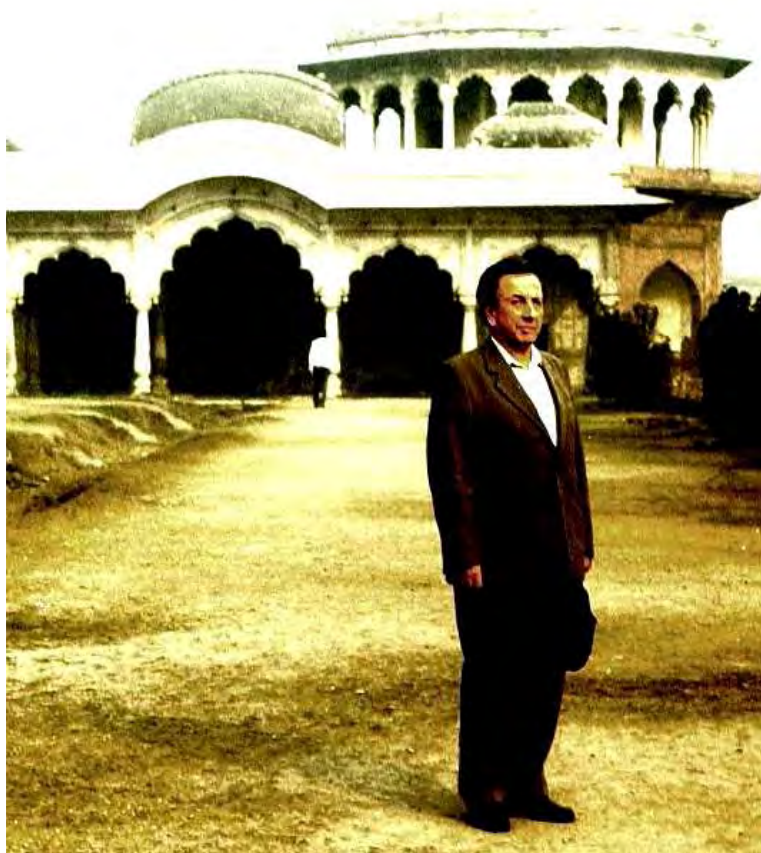
Oczarowanie-----	87
Tęsknota-----	88

RAHNEDA – POŁOCKA KSIĘŻNICZKA

Rahneda w Nowogrodzie Wielkim-----	89
------------------------------------	----



1979 r. Litwa. Troki. Autor przy zamku.



1987 r. Indie. Delhi. Autor przed starym pałacem.

BIBLIOTEKA
Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego
„BIAŁOWIEŻA”

Seria założona w 1990 r.

Książka siedemdziesiąta pierwsza

Redaktor
Wiktor Szwed

© Copyright by Dymitr Szatyłowicz

Wydawnictwo
PRYMAT
Maciej Śliwowski

Białystok ul. Zwycięstwa 26 C lok. 7
Tel. (85) 869 14 87, 0602 766 304

www.prymat.biasoft.pl, e-mail: prymat@biasof